ROK VIII. PAŹDZIERNIK—1908 ROK. TOM X (LXXXIII).





DZWONEK Częstochowski

PISMO MIESIĘCZNE

ILLUSTROWANE

POD REDAKCJĄ

KSIĘDZA JÓZEFA ADAMCZYKA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą. — Filia w Warszawie: Marszałkowska Nr. 101.

1908.

Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!
Słynna w całym świecie
Herbata z gór Harcu
(Dr. LAUER'S HARZER GEBIRGSTEE).
Zalecana przez najsłynniejsze powagi lekarskię, zatwierdzona przez Departament Medyczny przy Ministeryum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu, jest jednym z najniezbędniejszych środków dla utrzymania zdrowia. Napój ten przyjmowany w ilości 2 — 3 szklanek tygodniowo, leczy: wyrzuty, liszaje, uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, cierpienia żołądka i t. p., przywraca apetyt i prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, influenzy i choleryny.
Cena pudełka rb. 1 pół pudełka 50 kop.
UWAGA. Każde **oryginalne** pudełko zaopatrzone etykietą. Jedyny reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:
JÓZEF GROSSMAN,
Warszawa, Śliska № 33A. Telefon № 184.44.
Zamiejscowym wysyłamy za zaliczeniem od 1 rubla, z doliczeniem na koszta przesyłki. Wystrzegać się falsyfikatów i podrabianych etykiet.

ADAM MICKIEWICZ.
PAN TADEUSZ.
Zupełne,
pierwsze wydanie w Królestwie Polskiem na pamiątkę 50 rocznicy zgonu poety, wydrukowane staraniem dziennika „ROZWÓJ" z 24 obrazami i 24 winetami, specyalnie dla tej edycyi przygotowanemi przez artystę
Stanisława Masłowskiego.
Cena księgarska rb. 5.
Dla prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego" w broszurze rb. 2, w ozdobnej oprawie rb. 2 kop. 60.

TRYUMF KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO!
Cudowne uzdrowienie w dniu 1 lipca 1908 roku na Jasnej-Górze w Częstochowie
BROSZURKA ILLUSTROWANA
Cena za 100 egzemplarzy rub. 5.
Dla żądających setki koszta przesyłki nie liczą się.



„DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI"

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE.

(12 dużych tomów rocznie).

Pod redakcyą księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.

Do czcigodnych i szanownych przyjaciół i prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego".

Wśród nieszczęść, które jak gromy w naród nasz uderzają, gdy płyną łzy bólu, leje się krew braterska, gdy syn staje przeciwko ojcu, podwładny przeciw panu, zbrodnia chce uchodzić za cnotę, oczy wiernych czcicieli Maryi z utęsknieniem zwracają się ku miejscu przez wieki umiłowanemu, przez wieki uświęconemu, ku Częstochowie, ku Jasnej-Górze, gdzie tron ziemski obrała sobie Matka Boska, Królowa nieba i ziemi.



Ojciec Święty Leon XIII błogosławi wydawnictwo **„Dzwonka Częstochowskiego"**. Również błogosławieństwa **„Dzwonkowi Częstochowskiemu"** udzielił i Ojciec Święty Pius X.

Jak ongi ojców naszych natchnione źrenice i ofiarne serca tutaj czerpały moc świętą i siłę, tak i dziś stąd, z Jasnej-Góry, spływa na nas błogosławieństwo Maryi, na całą Polskę rozpala światło świętej wiary, nadziei i miłości. Więc jakże nie kochać mamy Matki Boskiej Częstochowskiej, jak nie czcić Tej, przed którą w pokorze schylali w proch głowy swe ukoro-

nowane niezapomniani królowie nasi, gdzie klęczeli Jagiełłowie, Wazowie, Sobiescy i inni bohaterowie, czciciele i obrońcy Maryi!

Kochajmy Matkę Boską Częstochowską, jak Ją ukochali święci Pańscy, jak ją umiłowali mężowie natchnieni duchem Bożym, Apostołowie, monarchowie, wodzowie ludu, — jak Ją ukochali wszyscy ci, którzy doznali cudu u stóp Jej tronu ziemskiego, przed Jej świętym Obrazem na Jasnej-Górze w Częstochowie. Kochajmy Maryę, głośmy Jej cześć i chwałę, bądźmy Jej czcicielami, abyśmy osiągnęli najwyższe dobro każdego człowieka: szczęście i pokój na ziemi — zbawienie wieczne w niebiosach.

To wezwanie, tę prośbę zanosi „Dzwonek Częstochowski" do wszystkich chrześcijan-katolików, pragnąc ich dobra, ich zbawienia.

Wielcy i maluczcy tego świata mile słuchają głosu „Dzwonka Częstochowskiego". Pobłogosławili pismo nasze Papieże z wyżyn stolicy Świętego Piotra, biskupi nasi, zgromadzenia świętobliwe, oraz z nizkich chat wiejskich wierni czciciele Maryi.

Oto między innemi, wielce łaskawy dla nas list Jego Ekscelencyi księdza Stanisława Zdzitowieckiego, biskupa Kujawsko-Kaliskiego, z którego dyecezyi „Dzwonek Częstochowski" w świat wychodzi.



Jego Ekscelencya Ksiądz Stanisław Kazimierz Zdzitowiecki biskup Kujawsko-Kaliski.

Szanowny Księże Redaktorze!

Każdemu wiadomo, jak wielką jest potrzeba pism peryodycznych, któreby dawały duchową i społeczną strawę. Zasady bowiem i poglądy w pismach zawarte powoli wsiąkają w umysły i urabiają serca czytelników. To też uznanie Ci się należy, Szanowny Księże Redaktorze, za zbożną Twą pracę w „Dzwonku Częstochowskim", za rozsiewanie zdrowego ziarna na roli rodzin chrześcijańskich, dla których na wzór i obronę podajesz Najświętszą Bogarodzicę Maryę. Że praca Twa była potrzebna, świadczy poczytność "Dzwonka Częstochowskiego".

Kształć więc umysły i urabiaj serca, ufny w łaskę Bożą, opiekę Maryi i pomoc współpracowników, których wyszukiwać z pewnością nie potrzebujesz.

Zapewniając o swej dla „Dzwonka Częstochowskiego" życzliwości, zasyłam pasterskie błogosławieństwo Tobie, Szanowny Księże Redaktorze, Współpracownikom i Czytelnikom.

(podpisano) Ks. Stanisław Zdzitowiecki
Biskup Kujawsko-Kaliski.

Włocławek, d. 2 Lutego 1903 r.

Od lat siedmiu, za pomocą duchownego słowa, nawołuje „Dzwonek Częstochowski" do miłości Boga i bliźniego, do ukochania ojczystego zagonu i ojczystej przeszłości, do pracy w duchu prawdy i sprawiedliwości.

„Kto więc ukochał głos „Dzwonka Częstochowskiego“, kto stara się o rozpowszechnienie tego pisma, o jednanie mu jak najszerszych kół czytelniczych, ten pomnaża chwałę i cześć Jasnej-Góry, ten szerzy światło wśród ciemności, staje się prawdziwym czcicielem Maryi, ten tępi zbrodnię i występek, krzewi cnotę i światło prawdziwej wiedzy.

„Dzwonku Częstochowski“, dzwoń,
Święte echa roznoś w dal
Z szumem wiatru, z szumem fal,
Ode złego broń nas, broń!

„Dzwonku Częstochowski“, dzwoń,
O Maryi cudach głoś,
O Jej łaski dla nas proś,
Cnót Jej wdzięczną roznoś woń!

Ulepszać i udoskonalać „Dzwonek Częstochowski“, to najgorętsze pragnienie nasze, a zwłaszcza w roku 1908, kiedy rozszerzenie koncesyi i pozyskanie nowych zastępów piszących, ułatwi nam to i zapewni pismu poczytność coraz większą, zjedna coraz większe koło przyjaciół-czytelników, a przez to da nam możność materyalną do jeszcze większych ulepszeń i udoskonaleń.

Obok prac treści **religijnej i historycznej**, ożywimy dział wiadomości z dziedziny **polityki, nauk społecznych i przyrodniczych**, z dziedziny **handlu i przemysłu, hygieny** i innych pożytecznych rad i wskazówek, bądź z dziedziny **gospodarstwa rolnego i domowego** bądź **pedagogiki**, a także z **dziedziny pożytecznych odkryć i wynalazków, podróży** po ziemiach ojczystych i obcych. Wszystkie te prace starać się będziemy podawać w formie jasnej, zrozumiałej dla wszystkich, językiem pięknym, wolnym od naleciałości cudzoziemskich.



Medal złoty, którym nagrodzono „Dzwonek Częstochowski“ na kongresie katolickim w Fryburgu.

Premium „Dzwonka Częstochowskiego“ na rok 1908 stanowić będzie piękny obraz kolorowy, przedstawiający **„Ołtarz z cudownym wizerunkiem Pana naszego Jezusa Chrystusa w kaplicy na Jasnej-Górze w Częstochowie“.**

Premium to, kosztowne w wykonaniu, ofiarujemy w myśl życzenia tysięcy czytelników „Dzwonka Częstochowskiego“, którzy serdecznie pragną cudownym wizerunkiem Zbawiciela uświęcić ściany swego domostwa.

Druk zajmujących powieści z dziedziny historyi: **„Żona Cezara“** i **„Historya wojen krzyżowych“** z illustracyami G. Dorego w dalszym ciągu na kartach „Dzwonka Częstochowskiego“ prowadzić będziemy, jednocześnie rozpoczynając powieść historyczną autora **„Nawróconego“**, poświęconą zawsze drogim dla nas wspomnieniom naszego odrodzenia narodowego przed stu laty. Zajmująca ta powieść opiewać będzie orle wzloty niezapomnianego wodza-bohatera narodu polskiego — Tadeusza Kościuszki.

W dalszym ciągu drukować będziemy cenne prace:

1) **Żywot illustrowany Pana naszego Jezusa Chrystusa,** (najobszerniejszy ze wszystkich znanych w języku polskim). 2) **Historyę illustrowaną Kościoła Rzymsko-Katolickiego w obrazach i życiorysach.** 3) **Obrazy z historyi klasztoru Jasnogórskiego,** (z illustracyami). 4) **Drogą Świętych Męczenników wśród pogan,** (z illustracyami). 5) **Na ziemi i na gwiazdach,** (z illustracyami) 6) **Światła wiary i nauki,** (z illustracyami).

Nadto drukować będziemy piękną pracę **„Dawne nasze świątynie i klasztory“**, ozdobioną licznemi illustracyami.

Dla tych z prenumeratorów naszych, którzy z góry opłacą prenumeratę na cały rok 1908, co nam w znacznej mierze ułatwi ulepszenie „Dzwonka Częstochowskiego“, ofiarujemy zajmującą opowieść: p. t. **„W szponach pruskiej hakaty“**, osnutą na tle ostatnich wydarzeń w Księstwie Poznańskiem.

Nad to prowadzić będziemy wszystkie prace dotychczas drukowane w „Dzwonku Częstochowskim“, a mianowicie:

1) Artykuły treści teologicznej. 2) Powieści religijne. 3) Modlitwy prozą i wierszem. 4) Żywoty Świętych Pańskich, Ojców Kościoła, wielkich Papieży. 5) Obrazy z historyi Kościoła Rzymsko-Katolickiego. 6) Wiadomości różne tak z dziedziny życia społecznego, politycznego jak naukowego z obszernem uwzględnieniem spraw kościelno-religijnych i tyczących się Częstochowy. 7) Ogłoszenia. 8) Illustracye.



Rzym d. 5 Grudnia 1904 r.

Do Szanownej Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“

Kongres wszechświatowy ku czci Niepokalanej Matki Bożej w Rzymie odbył się z niesłychaną okazałością. Brało w nim udział kilkunastu Kardynałów, parę set biskupów, i niezliczona ilość uczonych z całego świata. Mowy były prawie we wszystkich językach wygłaszane ku czci Matki Bożej. O Dzwonku Częstochowskim przemawiał Kanonik Potthy [?] kościele Matki Boskiej Śnieżnej. Ksiądz Glorieux w sekcyi prassy, zasypywany przez Księży z Polski i czcicieli Maryi tysiącami oklasków. Jego Excellencya Ksiądz Arcybiskup Szymon i inni bawiący tu biskupi polscy z wielkiem uznaniem wyrażali się o Dzwonku jako wydawnictwie poświęconem czci Maryi Najświętszej w naszym kraju.

Uczestnik kongresu w Rzymie Ksiądz Kazimierz Grabowski.

Prenumerata „Dzwonka Częstochowskiego“ wynosi: w Częstochowie rocznie rub. 3, półrocznie rub. 1.50, kwartalnie kop. 75. Z przesyłką pocztową rub. 4, półrocznie rub. 2, kwartalnie rub. 1. W Austryi: rocznie koron 10, półrocznie koron 5. — W Niemczech: rocznie marek 9, półrocznie marek 5. W Ameryce 2 dolary 50 cent. rocznie (5 rubli). Cena ogłoszeń: Na całej stronicy rub. 12, na połowie stronicy rub. 8, na czwartej części stronicy rub. 5 i za wiersz 75 kop. Prenumeratorzy miejscowi za odnoszenie pisma do domu dopłacają 10 kop. kwartalnie.

Listy należy adresować:

Redakcya „Dzwonka Częstochowskiego“ pod Jasną-Górą w Częstochowie.

Redaktor i Wydawca: **Ksiądz Józef Adamczyk.**

ROK VIII. PAŹDZIERNIK—1908 ROK. TOM X (LXXXIII).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.
Filja w Warszawie: Ulica Marszałkowska № 101.

1908.

Treść tomu październikowego 1908 roku,

ogólnego zbioru LXXXIII.

ILLUSTRACYE:

Z dziejów Jasnej-Góry.

Trzy cudowne w jednym roku zdarzenia.

I.

Rok 1720 przypada na panowanie u nas Augusta, elektora saskiego, którego szlachta polska nieszczęśliwie wybrała na króla polskiego; bo możnaż obiór ten nazwać szczęśliwym, gdy ten, który powinien zabiegać o pomyślność narodu, nad którym berło otrzymał, potajemnie zmawiał się z nieprzyjaciołmi kraju, ażeby właśnie ten kraj rozebrać i największą jego część przyłączyć do swej ojczystej Saksonii? Czyż było szczęśliwem panowanie takiego króla, który oddany pijaństwu, zbytkom i wszeteczeństwu, dawał niecny przykład z góry od tronu, dla całej rzeszy poddanych? To też wielka część panów i szlachty, naśladując swego króla, trwoniła bezmyślnie czas drogi na hulankach i pijaństwie, a nie mając myśli wyższych, trawiła czas na próżniactwie, zbytkach, kłótniach, pieniactwie i zrywaniu sejmów, tak że wytworzyła sobie również bezmyślne przysłowie: „Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa“.

Na szczęście nie wygasły jeszcze całkiem w narodzie zarody cnót dawnych; pobożność po dawnemu istniała, poszanowanie kościołów i duchownych niezmiennie trwało i w całej pełni jaśniała cześć Królowej nieba i ziemi. Owszem, im więcej sfery wyższe zapominały o przykazaniach Bożych, i upadały moralnie, tem szerzej w ludzie wzbijały się modły w Niebiosa o zmiłowanie, tem częściej powtarzały się pielgrzymki do miejsc świętych, szczególniej na Jasną-Górę, gdzie obraz cudowny jaśniał blaskiem Gwiazdy morza dla dusz zbolałych, niby latarnia morska dla żeglarzy zagrożonych rozbiciem okrętu wśród skał i fal spienionych...

Wspomniany na początku rok 1720 wychylił właśnie z siebie trzy zdarzenia dzięki cudownemu Jej częstochowskiemu obrazowi.

Jedno z tych zdarzeń w krótkości zostało tu wyjęte z zeznania prałata kanonika kijowskiego i przysięgą przez tegoż stwierdzone. Kanonik ten, ks. Michał Prószyński, był zarazem plebanem w parafii topczewskiej, dyecezyi łuckiej, w województwie podlaskiem położonej.

Województwo podlaskie obejmowało wtenczas powiaty: drohicki, brzeski, bielski, kamieniecki, mielnicki i hobrzyński, z herbem połączonym Królestwa Polskiego orłem białym i pogonią Wielkiego Księstwa Litewskiego. Województwo to wraz z dwoma innemi należało do obszernej biskupiej dyecezyi łuckiej.

Otóż zeznanie wspomniane w tej brzmi treści:

„Bogu Naijdobrotliwszemu, Najwyższemu, Bogarodzicy Maryi na Jasnej-Górze częstochowskiej, cudotwornej żywych i umarłych Matce i Opiekunce, wieczna cześć i chwała! Ja, ks. Michał Pruszyński, kanonik, pleban i t. d., zeznaję, i zeznaje się przysięgą na krucyfiks Zbawiciela mego, z dotknięciem palcy, jak wielkie rzeczy ze mną się stały.

I tak: przed zaczęciem teraźniejszego roku 1720, przez dwa blizko lata chorowałem ciężko po całem ciele, tak, że władzy pozbawionego przewracać mnie na łóżku musiano; nadto puchliną aż do wewnątrz nawiedzony byłem; wreszcie zaniewidziałem i ogłuszałem, przy rozumie jednak, pamięci i mowie wolnej. Zawczasu tedy, przed pół rokiem, miałem trumnę gotową i sposobiłem się na śmierć.

Nakoniec, mając się najgorzej, dysponowany i opatrzony Sakramentami świętemi od Im. ks. ks. Piotra Markowskiego w Domanowicach, Piotra Brzezowskiego w Wyszkowej i Jakóba Kruszowskiego w Piętkowicach, plebanów, a testamentu mego egzekutorów, w poniedziałek, dnia 8 stycznia roku tego skonałem.

I tak obleczonego tymczasem w albę kapłańską, włożono mię w trumnę, wierzchem zamknięto, i do komory bez okien, na mróz ciężki wyniesiono.

Tam od godziny szóstej z rana aż do czwartej wieczorem leżałem umarły. Dziwna i niepojęta rzecz, pokazał mi się sędziwy starzec, włosów i brody siwej, w habicie i płaszczu białym, który wziąwszy mię za rękę prawą, tak, żem we wszystkich kościach i stawach boleść uczuł, rzekł do mnie te słowa:

— Idź, uczcij obraz błogosławionej Maryi Panny na Jasnej-Górze częstochowskiej, a żyć będziesz.“

Wierzę, że to był święty Paweł, pierwszy pustelnik, jako Ojciec i Patryarcha zakonu Jasnogórskich Ojców [1]), którego święto trzeciego dnia potem, to jest 15-go tegoż miesiąca (stycznia) następowało.

Tak tedy w trumnie ożywszy, wzywałem z westchnieniem: „Jezus, Marya Najświętsza, Panno Częstochowska, pod Twoją obronę się udaję, Święta Boża Rodzicielko!“ i t. d., — co słysząc ubodzy, natenczas przy trumnie przytomni, uciekli ode mnie, dając znać o tem domowym moim, którzy potem wróciwszy się i z domowymi mymi odbili trumnę, podnieśli mnie i do ciepłej izby zaprowadzili.

Dziwna rzecz! zaraz wtedy do widzenia i słyszenia, władzy rąk i nóg przywrócony zostałem.

Uznawszy, niegodny, tak wielką łaskę i miłosierdzie Pana i Stwórcy mojego nad sobą przez przyczynę Najświętszej Maryi Panny w cudownym obrazie częstochowskim. na cały świat cudami słynącej, lubo postanowiłem odprawić drogę do Częsstochowy, uważając jednak dalekość drogi w zimie ostrej i przykrej, odłożyłem do wiosny podróż moją, którą teraz przz łasce Bożej odprawiłem, mil stąd 70 i przybyłem tu do Częstochowy dnia 12 czerwca 1720 r. na podziękowanie Panu Bogu, Najświętszej Pannie i świętemu Ojcu Pawłowi, pierwszemu pustelnikowi, za tak cudowne ożywienie i osobliwie też na tem miejscu świętem wzmocnienie w moich siłach.

To zaś wszystko, co w chorobie czułem, widziałem i po ożyciu mojem słyszałem od oczywistych świadków, zeznaję pod przysięgą przy obecności przewielebnego Ojca Brunona Janickiego, prowincyała i innych Ojców Jasnogórskich i na to się własną ręką podpisuję.

Działo się na Jasnej-Górze częstochowskiej, dnia 14 czerwca 1720 roku. Ks. Michał Pruszyński, kanonik kijowski.“

II.

Tegoż roku jak wyżej, stało się cudowne uleczenie w województwie inowrocławskiem, dziś po ostatecznem rozdrapaniu tej części Polski przez Prusaków, należącej do monarchii pruskiej w obrębie Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Dopiero też świeżo, przy zakusach rządu pruskiego niszczenia wszystkiego co polskie, prze-

---

[1]) Paweł, po łacinie Paulus; stąd nazwa Paulinów.

chrzcili pruscy hakatyści odwieczny polski Inowrocław na niemieckie: Hohensaltza.

Otóż w rzeczonem województwie synek czteroletni niejakiej Jadwigi Zglińskiej, wdowy, zapadł w chorobę i pięć tygodni cierpiąc, począł konać.

Strapiona do żywego matka, zalewając się rzewnemi u łóżeczka łzami, uklękła i ofiarując swe dziecię Najświętszej Pannie Częstochowskiej, której obraz zawieszony był na ścianie po nad łóżeczkiem, wymówiła w gorącej prośbie te słowa:

— „Najświętsza Panno Częstochowska!—jeżeli wola Syna Twego Najświętszego, aby to dziecię ożyło, błagam Cię przez przyczynę Twoją, uczyń z nim miłosierdzie!"

Aż oto prawie w tejże chwili syneczek stał się inny, pić i jeść wołał, a na drugi dzień chodził o swojej mocy.

Wkrótce tak niezwyczajnie pocieszona, przejęta wdzięcznością matka, odbyła pielgrzymkę wraz z synkiem na Jasną-Górę i tam w prześlicznej kaplicy przed cudownym obrazem przedstawiła go Najświętszej Pannie, jako jedynej w troskach i potrzebach Pocieszycielce dla uciekających się pod macierzyńską Jej opiekę.

III.

Trzecie niezwykłe i cudowne jak tamte dwa zdarzenie, przypadło w ziemi Proszowskiej, należącej do dawnego województwa krakowskiego, a dziś do gubernii kieleckiej, a powiatu miechowskiego. Główne miasto Proszowice, sięgające odległej starożytności, leży nad rzeczką Szreniawą, długą mil 9, a wpadającą z lewej strony do Wisły. Jeszcze król Władysław Jagiełło obdarował to miasto w r. 1409 niektóremi przywilejami; mieli nad niem opiekę i późniejsi Jagiellonowie. Zygmunt I w r. 1532, dla braku wody, pozwolił: ażeby woda z rzeki Szreniawy sprowadzoną była kanałami do sporządzonego rezerwoaru wśród rynku, skąd rurami dostarczała się do domów. Tu się odbywały różne sejmiki szlacheckie, a zjazd zgromadzonej szlachty dla wyboru posłów w r. 1606, za poduszczeniem wojewody krakowskiego, Mikołaja Zebrzydowskiego, stał się zarodem pamiętnego rokoszu przeciwko Zygmuntowi III. Miejsce to szczyci się narodzeniem w r. 1454 błogosławionego Rafała z Proszowic, bernardyna. Narodził się także tutaj w r. 1567 Stanisław Bzowski, który wstąpiwszy do zakonu świętego Dominika, przybrał imię Abra-

hama, był profesorem filozofii i teologii w Medyolanie i Bononii, miastach włoskich. Poważany przez papieża, napisał dzieła kościelne i mnóstwo innych dzieł historycznych. W czasie wojny szwedzkiej w r. 1655 miasto wiele ucierpiało i podupadło. Jest tu starożytny kościół pod wezwaniem świętego Ducha, wystawiony w XV stuleciu przez Kazimierza Jagiellończyka. Mieszczanie trudnią się przeważnie uprawą roli; okolica bowiem ta, a nawet i cały powiat proszowski słynie z dawnych wieków żyznością gruntów; mianowicie pszenica wielką ma w kraju i za granicą zaletę.

W tem to starodawnem miasteczku był w roku 1720 kapelanem u świętego Ducha ks. Marcin Śmietański, którego zeznanie z łacińskiego języka na polski temi słowami przełożone zostało, jak następuje:

„Bogu Najdobrotliwszemu, Najwyższemu i Bogarodzicy Najświętszej Pannie Maryi na Jasnej-Górze Częstochowskiej cudotwornej ja, ks. Marcin Śmietański i t. d., zeznawam słowem, wiarą i sumieniem kapłańskiem, że przed pięciu latami, ciężką chorobą na kształt paraliżu na rękę i nogę lewą złożonym będąc, przez dwa roki, skorom uczynił ślub na Jasną-Górę do Najświętszej Panny udać się i chociaż tak schorzały, odważyłem się wyjść z Proszowic pieszo, a nie słuchając przyjaciół i lekarzy, jakom mógł, tak postępowałem, czołgając się.

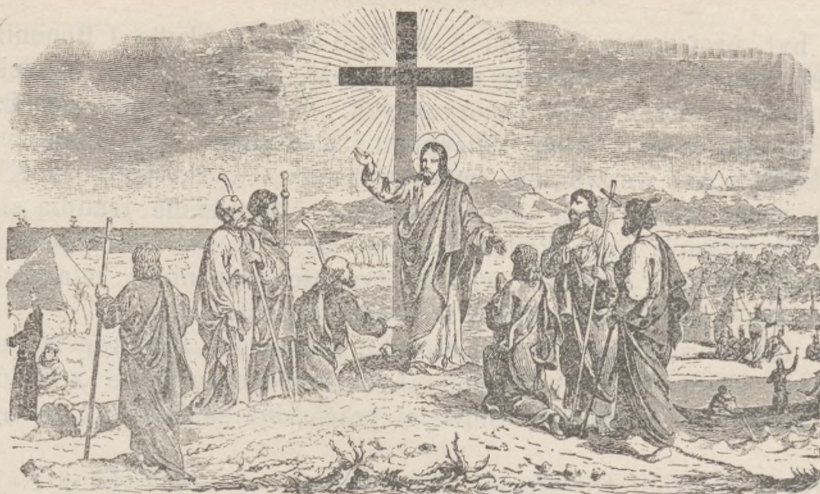
Dziwna rzecz! w tejże drodze ozdrowiałem zupełnie i tak na Jasną-Górę (mil 13), jako i nazad do domu zdrów przyszedłem.

A że wtenczas na Jasnej-Górze samemu Panu Bogu i Najświętszej Pannie podziękowawszy tylko, nie zaznałem tego, jak trzeba było, dla tegoż podobno znowu teraźniejszego roku 1720 w miesiącu wrześniu nawiedził mię Pan Bóg tąż co i przedtem niemocą, której szerzenia się dalej nie czekając, obiecałem się znowu pieszo na Jasną-Górę do Najświętszej Panny i zeznać łaskę tę otrzymaną, aby do księgi cudów wpisaną była.

Lecz i to, niepojęta rzecz! — żem zaraz w domu ozdrowiał: i tak zdrowo wyszedłem pieszo nawiedzić miejsce święte z dziękami i zeznaniem tem, własną ręką podpisanem na Jasnej-Górze roku 1720 dnia 17 października. Ks. Marcin Śmietański, kapelan u świętego Ducha w Proszowicach.

Józef Grajnert.





ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA

Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Jezus znajduje się ciągle w pośród ludu swego. Gdy wrócił z uczniami swemi na drugi brzeg jeziora, czekała Nań wielka rzesza. Bo nietylko z Kafarnaum, ale i z dalszych stron przybywali, aby słyszeć Jego naukę, aby szukać u niego pomocy i ratunku w rozmaitych potrzebach.

Wtem z blizkiego Kafarnaum przychodzi niejaki Jairus, przełożony bóżnicy, rzuca się do nóg Jezusa, prosi, by wszedł w dom jego, bo córka jego jedynaczka, panienka dwunastoletnia umiera, kona. — „Pójdź — tak błaga — włóż na nią ręce, żeby ozdrowiała i żywa została.“

Pan Jezus gotów jest wysłuchać prośbę strapionego ojca,—idzie. Wtem na drodze zachodzi wypadek, który opóźnia spełnienia prośby nieszczęśliwego ojca.

Tłum wielki ludu nie pozwala Jezusowi pospieszać — zewsząd cisną się około Niego. W tym tłumie znalazła się pewna nieszczęśliwa ciężko chora kobieta. Lekarze ją odstąpili, nie znajdując środków na jej uzdrowienie. Słyszała dużo o cudach Jezusa i zrozpaczona wytęża wszystkie siły, aby się zbliżyć do Niego. Nic nie mówi, tylko w duszy sobie myśli: jak tylko dotknę się Jego szaty, będę

zdrowa. Szczęśliwie przecisnęła się przez tłum o tyle, że nieznacznie dotknęła się szaty Jezusa. Ale Zbawiciel mocą boskiego przeczucia wiedział, że Go się dotknęła niewiasta i w jakim celu. Obróciwszy się do rzeszy, pyta: „Kto się dotknął szat moich?“ Tłum cały na to niespodziewane pytanie zatrzymuje się zdziwiony i pytająco patrzy jeden na drugiego. Najbliżsi zaręczają, że się nie dotknęli, a Piotr odzywa się do Jezusa: „Widzisz rzeszę cisnącą się i pytasz się, kto się mnie dotknął?“ — Tknął się mnie ktoś, bo ja to wiem, bom poczuł moc, która wyszła ode mnie“ i patrzał po ludziach, aby obaczył tę, która to uczyniła.

Wtedy niewiasta zupełnie uzdrowiona, czując na sobie wzrok Jezusa, drżąca wychodzi z tłumu, pada przed Nim i przed całym ludem „wyznaje prawdę“, a Jezus odzywa się do niej: „Ufaj, córko, wiara twoja ciebie uzdrowiła, idźże w pokoju“.

Podczas całego tego zajścia podchodzi do arcybóżnika Jaira służący jego z smutną nowiną: „Córka twoja — powiada — umarła, nie trudź już Nauczyciela.“

Przerażająca nowina! Pod tym strasznym gromem ojciec zdaje się upadać, tracić resztę wiary. Jezus go ratuje i ze współczuciem odzywa się do niego: „Nie bój się, wierz jeno, a będzie zdrowa.“

Zbliżając się do bram miasta, już zdala słyszeć było można płacz, wrzask, zgiełk, bo taki był zwyczaj opłakiwania umarłego. Jezus wchodzi w ten tłum płaczek i żałobników i odzywa się: „Czemu zgiełk czynicie i płaczecie? Dzieweczka nie umarła, ale śpi. A oni się śmiali z Niego, widząc, iż była umarła.“

Zbawiciel wygania tych niewiernych śmiejących się — bierze ojca i matkę i trzech Swych Apostołów, wchodzi, gdzie dzieweczka leżała, ujmuje jej rękę i mówi głośno: „Talitha kumi“—co znaczy: „Panienko, wstań!“ I wrócił się duch jej i wnet wstała i chodziła i rozkazał, aby jej jeść dano. I zdumieli się rodzice jej, którym rozkazał, aby nikomu nie powiadali, co się stało.“

To, co Apostołów wprowadzało w zdumienie, ożywiało ich wiarę, zostało im udzielone, a mianowicie moc czynienia cudów, moc nad chorobami i złymi duchami.

Zaraz po opuszczeniu domu Jaira Jezus łączy się z Swoimi dwunastoma Apostołami. Widzi, że nadeszła już godzina, którą oddawna naznaczył; uczniowie Jego już dojrzali do tyla, że może polegać się na nich. Więc wzywa ich do siebie, „daje im moc i władzę nad wszystkie czarty, ażeby uzdrawiali wszelkie choroby. I posyła ich przepowiadać Królestwo Boże i uzdrawiać niemocne.“ I rzekł

do nich: „Nie bierzcie nic w drodze, ani laski, ani taistry, ani chleba, ani pieniędzy, ani po dwu sukien miejcie.“

Wyprawia ich, jako posłów Swoich. W imieniu Jego przebiegają krainę tu i tam, przepowiadają Królestwo Boże, to znaczy, że Mesyasz już przyszedł, że tym Mesyaszem jest Jezus z Nazaretu.

Już oddawna rozlega się głos po wszystkiej ziemi, iż blizkie Królestwo Boże. Kto nie słyszał o Tym Cudotwórcy, o tym Jezusie? A jednakże wielu trzyma się zdala od Mesyasza. Tych Jezus teraz nawiedzi przez Swe posły, obudzi, będzie wzywał do Siebie — a ci posłowie swoje posłannictwo będą potwierdzać cudami takiemi, jakie czynił Sam Mesyasz. W imieniu Jezusa wyganiają czarty, uzdrawiają chorych.

Ale jeszcze nie dość na tem. Główną cechą i jakby znakiem widzialnym i dotykalnym, po którym Apostołowie mają się dać poznać światu, że są wysłańcami Zbawiciela jest miłość. „Po tem poznają wszyscy, żeście uczniami Moimi, jeżeli się wzajemnie miłować będziecie, jako i Ja was umiłowałem. Jako Mię Ojciec umiłował, tak i Ja was umiłowałem.“

Tajemnica Objawienia Mesyaszowego, którą poznajemy w naukach i cudach w całem działaniu Jezusowem, aż do śmierci i zmartwychwstania, przedstawia się z jednej strony, jako objawienie miłości Ojca do Syna, z drugiej, jako objawienie miłości Syna i Ojca do świata. Świat zaś inaczej nie może pojąć i wykazać skutków tego objawienia, jak przez miłość wzajemną — przez miłość chrześcijańską bliźniego. Najczystsza miłość ludzka, która nawet nieprzyjaciół wyklucza, nie jest objawem miłości Boga Ojca i Syna.

Zlecenia, rozkazy, jakie im daje Jezus na drogę, odpowiadają zupełnie charakterowi posłów Mesyaszowych. Szedłszy, przepowiadajcie, mówiąc, iż się przybliżyło Królestwo Niebieskie. Niemocne uzdrawiajcie, umarłe wskrzeszajcie, trędowate oczyszczajcie, czarty wyrzucajcie; darmoście wzięli, darmo dawajcie.“

Mistrz posyła tych uczniów, jako prawdziwie ubogich, z onem ubóstwem w duchu, które jedynie ma prawo do Królestwa Niebieskiego. On będzie zawsze z nimi, gdziekolwiek w imię Jego będą przepowiadali, dlatego nie potrzebują się o nic troszczyć. Błogo domowi, który ich przyjmie uprzejmie.

Jest to pewna, że wszędzie, gdzie Apostołowie Chrystusowi przychodzą w imię czystej miłości, zawsze wzruszą umysły i serca— i działalność ich ogarnia najdalsze koła. Łaska Boża ze wszech stron dobija się do dusz.

(D. c. n.).

Bogarodzica naszą Matką.

Przypatrzmy się symbolom, którymi posiłkuje się kult odnoszący się do osoby Bogarodzicy. Należałoby przejrzeć księgi liturgiczne różnych obrządków, dzieła Ojców Kościoła i pisarzy kościelnych.

Wszystko, co na niebie i na ziemi wielkiego, pięknego, bogatego, składa się na podniesienie czci Maryi.

Słońce, księżyc, gwiazdy, kwiaty, owoce, zwierzęta nawet służą swym wdziękiem, pięknością, pożytecznością do uplastycznienia duchowej godności i zacności Maryi.

Oprócz natury całej, w tymże celu używają się różne przedmioty tak obficie wskazane Izraelitom i poświęcone do czci Najwyższego — jak przybytek, arka przymierza, manna, namiot, oltarz, kadzielnica i t. p.

Nie dosyć tego, księgi Starego testamentu podają wiele typów odnoszących się do Maryi, jedne z nich z wyraźnego rozkazania Bożego, inne wytworzyła wyobraźnia i pobożność ludzka, rzeczy martwe i ludzie żyjący występują naprzemian.

Oto na poparcie tego przytoczymy słowa świętego Jana Damasceńskiego, jak spożytkowuje symbole ku uwielbieniu Maryi:

„Widziały ją inne córki jerozolimskie, czyli Kościoła, i za najszczęśliwszą wystawiały królewskie żony, czyste dusze i chwaliły ją. Albowiem Ty jesteś, jako tron królewski, na którym Aniołowie podziwiają siedzącego Pana i swego Stwórcę. Ty jesteś Rajem duchowym — świętszym i więcej boskim, aniżeli pierwszy raj ziemski:— gospodarzem jego był Adam ziemski, w Tobie zamieszkał Pan niebios.

Arka Ciebie zapowiadała, w Tobie zachowało się ziarno odrodzenia świata, boś wydała Chrystusa, Zbawiciela naszego.

Krzak gorejący, tablice zapisane palcem Bożym, skrzynia złotem okryta, świecznik siedmioramienny, stół pokładny, laska Aarona do Ciebie się odnosiły i Ciebie nam zapowiadały.

Z Ciebie ukazał się w ciele ogień boskości, słowo z Ojca, słodkie, jako manna, światłość wieczna, chleb życia, owoc doskonały. Zapowiedzianą byłaś przez ów namiot Abrahama, Słowu Bożemu, mieszkającemu w Tobie, jako w przybytku; natura ludzka ofiarowała z Twojej krwi czystej chleb ogniem boskości przygotowany, pierwociny szacowne: ciało i duszę zjednoczoną z bóstwem dla naszego zbawienia, oglądaliśmy oczami naszemi. Czytając homilie Ojców wschodnich, podziwiać musimy bogactwo porównań i doskonałe zestawienia symbolów, a wszystko dąży do uwielbienia Matki Bożej.

Jako próbkę, damy wyjątek z dzieła Andrzeja z Krety. Nie był on wielkim mówcą — jednak za czciciela Maryi może być uważany.

„Zauważcie — mówi do swych słuchaczów,—iloma imionami Matka Boża jest ozdobiona — w ilu miejscach Pismo święte głosi Jej chwałę.

Nasze księgi święte mianują Ją: różdżką, przybytkiem, prorokinią, domem Boga, kościołem świętym, ołtarzem pojednania, stołem świętym. Jest Ona Świętą Świętych — chwałą Cherubinów, koroną piękności, rogiem obfitości, berłem królewskiem“ i t. d.

U innych pisarzy kościelnych widzimy zastosowanie typów w formie wykwintnej, literackiej — a oprócz tego udatne przystosowania do orzeczeń Pisma świętego.

Sprawiedliwą rzeczą, żeby wszystkie języki wielbiły Maryę, Matkę Bożą i usiłowały dorównać Gabryelowi — księciu Aniołów. Z całem uszanowaniem przemawia: Ave! — Bądź pozdrowiona! Ktoś inny mianuje ją światłem, inny gwiazdą zaranną; ktoś znowu tronem Boga — inny kościołem wspanialszym, niż świat cały.“

W księgach liturgicznych Greków znajdziemy nie mniej bogate żniwo typów i symbolów, jak to widzimy z dzieła *Pietas Mariana Graecorum.* Tak więc możemy za nimi po setny raz powtórzyć: „Wychwalajmy Maryę na wszelki sposób — niech Ją wielbią usta wszystkich“. Łacinnicy nie dają się wyprzedzić swoim braciom wschodnim. Zacząwszy od średnich wieków — żaden mówca nie pomija stawiać przed oczy rozliczne typy, aby wyjaśnić, jak skuteczne jest pośrednictwo Maryi przed Bogiem.

Świętego Bernarda cytowaliśmy nieraz, iluż innych czcicieli Maryi, imiona cisną się pod pióro.

Zwierciadło — lub Chwała Maryi świętego Bonawentury — Rozmyślania Raymonda Jordan, Ryszarda od świętego Wawrzyńca— Korona błogosławiona Maryi Panny, świętego Ildefonsa.

Jakże nie wspomnieć o tych hymnach, pieśniach, które ojcowie nasi tworzyli, wypowiadając swoje uczucia z całą prostotą i naiwnością dziecięcą.

I trzeba pamiętać, że owe utwory natchnionych mistrzów, zarówno zalecające się formą poetyczną, jak ścisłością dogmatyczną były na ustach wszystkich, nawet i prostaczków, ale bo też stosowały się do pojęcia wiernych, a nie rzadko posiłkowały się mową pospolitą.

Dzisiejsi poeci, malarze-artyści, idąc pomiędzy lud i szukając w świecie najbliżej ich otaczającym motywów do swoich utworów— szkoda, iż tak mało czerpią natchnienia w liście z nieba, jak zowiemy Pismo święte, że nie zagłębiają się w tej skarbnicy nigdy nie wyczerpanej. Zatracili oni znajomość symboliki, w którą obfitowały dawniejsze szkoły mistrzów.

Oto statua z XIII wieku przedstawia Dziecię Jezus, bawiące się gołąbkiem — inna z tejże epoki w S. Denis ukazuje nam, jak z rączek Pana Jezusa gołąbek się wyrywa, a Dziecię Boże za skrzydełka go przytrzymuje. Któż się nie domyśli, że ten symbol oznacza duszę człowieka, którą Matka Boża synaczkowi swojemu w opiekę odaje, że jej nie opuszcza dobroć Boża, chociaż się upiera i do swych nawyknień wrócić rada.

Albo ten obraz Pinturrichio, na którym widzimy Matkę Boską, a gołąbek kuje dziobkiem w palec. Nie trzeba się pytać, gdyż każdy powie: oto Matka, pełna miłości, pełna miłosierdzia. Ktokolwiek zna historyę sztuk, ma liczne dowody, że chrześcijanizm, że wiara, pobożność, nie tamuje postępu — owszem wpływa, pobudza do rozwoju umiejętności i wzbogaca prawdziwą wiedzę.

(D. c. n.)

ks. Wł. Fudalewski.



Z księgi wielkich wydarzeń dziejowych.

Obrazy z czasów wojen krzyżowych.

Pielgrzym.

Dawne to dzieje, które opowiemy. Od chwili gdy się zdarzyły, nad światem chyżym biegiem, niby chmury gnane wichrem, przemknęły już nie lata, ani dziesiątki lat, ale całe setki, przeszło lat siedmset.

Ciekawe to były czasy, nie było jednak porządku pomiędzy ludźmi, jak przynależy: mocny gnębił słabego, wyzyskiwał go i im kto był silniejszy, tem większą ciągnął korzyść ze słabszych.

Chrześcijaństwo wprawdzie już wówczas panowało w całej Europie, ale na wskroś ludzkich serc nie przenikało i nie łączyło miłością bratnią, jakiej naucza.

Słowa jednak Bożej nauki Zbawiciela świata rozbrzmiewały wszędzie; do Grobu Chrystusa Pana w Jerozolimie odbywały się ciągłe pielgrzymki, pobożni wędrowcy spieszyli do niego z najdalszych krańców świata; ale gdy w roku 1187 przybiegła wieść do Europy, że Saraceni miejsce to święte na nowo opanowali, papież Urban III boleścią przejęty umarł ze zmartwienia, a całe chrześcijaństwo poruszyło się jak rój pszczół napaścią do obrony zmuszonych. Gdy więc później papież Klemens III wezwał całe chrześcijansto do zbrojnej wyprawy w celu wyrwania Grobu Chrystusa z pod przemocy saraceńskiej, przystąpili do niej zaraz królowie, książęta i możni panowie. Pierwszym między nimi był król Anglii, Ryszard Plantagenet, młody, bo zaledwie trzydziestokilkoletni, chciwy sławy wojennej, i ten na czele swego rycerstwa udał się do Marsylii, gdzie miał połączyć sie z posiłkami z Francyi przyrzeczonemi. Na czas swej nieobecności urządził wprawdzie zastępstwo, ale możni narodu, pra-

gnący nieograniczonej swobody, zaraz po wyjeździe Ryszarda postawili na czele rządu Jana, brata jego rodzonego, a sami w zamkach, jakby fortece urządzonych, dopuszczali się gwałtów i nadużyć różnego rodzaju. W całej też Anglii, oddawna wewnętrznemi niesnaskami niepokojonej, wrzała jakby wojna domowa, rozprzężenie wszędzie panowało, sprawiedliwość ustała i wszelkie bezpieczeństwo zniknęło.

W takich to czasach, w początku wiosny roku 1191, w górzyrzystem położeniu Szkocyi, szedł jakiś ubogi podróżny drogą wijącą się ku wyżynie leśnej; na głowie miał obszerny kapelusz, a na sobie zniszczoną już pielgrzymią szatę i torbę skórzaną przez ramię przewieszoną. Okolica, którą przechodził była bardzo malownicza. Droga podnosiła się nieznacznie, po obu zaś jej stronach rozciągały się niziny przystrojone świeżą wiosenną zielenią w krzaczki, kępy drzew i w strumienie, błyszczące promieniami odbitego w nich słońca.

Dzień był cichy, spokojny, skowronki z świergoleniem unosiły się w przestworzach niebieskich, ptactwo nad strumieniami wesoło szczebiotało, nigdzie jednak nie można było dostrzedz żyjącego stworzenia, dokoła było pusto i głucho, jakby w bezludnej pustyni.

Wędrowiec, był to człowiek dobrze już w lata podeszły; chudy, zawiędły, ogorzały, podpierając się wysoką laską w kształt krzyża zakończoną, odmawiał ciągle pacierze i z wielkim niepokojem przerzucał spojrzenia po okolicy go otaczającej. Niekiedy przystawał i wówczas przyklękając, składał ręce i chylił głowę do samej ziemi, jakby w skrusze ducha żalem przejętego.

Wreszcie doszedł do miejsca, w którem droga wsuwała się w gąszcz borów szeroko i daleko się rozciągających. Zaraz tuż stał krzyż z wizerunkiem Jezusa Chrystusa, pochylony, omszały z bardzo wysokiego dębu. Wędrowiec, zobaczywszy go, odsłonił głowę, rzucił się na kolana przy jego podnóżu i oparłszy głowę o otaczające go ogrodzenie, zatonął w głębokiej modlitwie.

Wtem z bocznej drożyny wysunął się niewielki orszak zbrojnych konnych rycerzy. Wszyscy byli, jakby w stal zakuci, hełmy żelazne okrywały im głowy, pancerze piersi i plecy, naramienniki osłaniały ręce od ramion aż do końców palców; podobnie zabezpieczone były nogi, a siatka z łuski stalowej pokrywała szyję. Za broń zaczepną i odporną, mieli długie spisy, szerokie szable obosieczne, wielkie sztylety, puklerze i czekany, czyli młoty stalowe do druzgotania zbroi przeciwnika, lub kładzenia go trupem za jednem uderzeniem. Podobnie jak rycerze i konie pokryte były, począwszy od

uszu aż do ogona żelaznemi pancerzami, tak jednak urządzonemi, że swobody ruchów nic nie tamowały.

Rycerskie te przybory z owych dawnych czasów, przechowane do dziś dnia starannie w różnych zbiorach starych pamiątek, zadziwiają ciężarem swym i mimowoli wywołują zapytanie, jakiejże to siły byli ludzie ówczasowi, co je dźwigali na sobie, co w nich walczyli, posługując się bronią, jakiej dziś niejeden nawetby podnieść z łatwością nie potrafił?...

Rycerz, jadący na czele, hełm miał ustrojony pióropuszem i podniesioną przyłbicę twarz mu przysłaniającą. Był to człowiek niemłody z dumnem spojrzeniem i hardem obliczem, o ile to dostrzedz się dało w odsłonionej twarzy. Za nim jechało czterech rycerzy, powodując końmi silnej i zgrabnej budowy. Gdy z podgórza wydobyli się na drogę, w pobliżu pielgrzyma przy krzyżu modlącego się, orszak przystanął, a rycerz przodujący, rozejrzawszy się w koło siebie, rzekł, zwracając się do swych podkomendnych:

— Nie wiem, Burlaju, którą wybrać drogę do dalszego pochodu? Przez las byłoby wygodniej i bliżej, ale w nim zapewne roją się bandy zbrojnych rabusiów. Podłe to zgraje, łatwe do wyduszenia, kąsają jednak, jak jadowite robactwo, przed którem oganianie się niemiłe i nużące. Jeżeli więc drogę tę leśną obsadzili...

— Słyszałem, milordzie—przerwał Burlaj, że Robin-Hood z bandą swą podsunął się ku Yorkowi [1]), ale na pewno twierdzić tego nie mogę...

— Nie wymieniaj mi nawet nazwiska tego nędznika! — zawołał gniewnie rycerz.—Zbójcę tego, jak tylko uchwycę, na najwyższem każę powiesić drzewie, aby wiedziano, jak rycerz Remigiusz Samson z Duplanu, karze podobnych niegodziwców.

Gdy to wyrzekł, twarz mu się cała od gniewu zaczerwieniła, a w oczach zdało się, że ogień błyśnie i wybuchnie płomieniem. Po chwilce cokolwiek uspokojony, odezwał się znowu do swoich podkomendnych:

— Powiedzcie mi, czy nie macie jakich wieści o tych bandach zbójeckich?

— Słyszałem, milordzie—odezwał się drugi giermek Lindburst,— że wolni strzelcy...

— Wolni strzelcy! — krzyknął gwałtownie Remigiusz, jak śmiesz tak nazywać nędzników, co jedynym są powodem nieporząd-

[1]) Miasto, w którem podówczas królowie angielscy przemieszkiwali.

ków, jakie trapią kraj cały? Są to wszystko wyrzutki społeczne, których jak gniazda szerszeni, co do jednego należy wydeptać.

— Dobrze, milordzie, będę deptał, gdy rozkażesz! — potwierdził Lindburst, cokolwiek przerażony gniewem swego pana.

— Cóż więc słyszałeś o tej zgrai bandytów?

— Słyszałem, milordzie, że banda ich znacznie powiększona rozdzieliła się na dwie bandy i bardzo być może, że gdy jedna podsunęła się ku Yorkowi, druga w tych lasach koczuje.

— To być może — mruknął rycerz Remigiusz, i oglądając się w koło, mówił dalej:—gdyby można było kogo spotkać... ale otóż pod krzyżem ktoś klęczy.

— Hej! wędrowcze, ocknij się z pobożnej swej zadumy! Cóż to głuchy jesteś, czy nieżywy?

A gdy pielgrzym ani się poruszył, rycerz, zwracając się do giermków, rzekł:

— Lindburstcie, podsuń się do niego i grotem spisy przekonaj się, czy to trup, czy żywy!

Giermek podjechał ku pielgrzymowi; tętent kopyt i parskanie rumaka rozbudziły go widać z zamyślenia, bo szybko powstawszy, zwrócił się ku jadącym. Przy wspaniałej postawie rycerzy, skromna postać pielgrzyma biedną, starą i zniszczoną okrytego szatą, trochę przychylona i trwożna, bardzo się niekorzystnie przedstawiła.

— Cóż to? — fuknął Remigiusz,—czyś głuchy stary włóczęgo, że cię ostrzem spisy trzeba zmuszać do odpowiedzi?

— Wracam, milordzie, z Ziemi świętej — odrzekł pielgrzym z największą pokorą, z oczami ku ziemi spuszczonemi. Ujrzawszy krzyż, przypominający mi...

— Nie idzie mi o twoje przypomnienia — zawołał Remigiusz gwałtownie,—ale o wiadomość, czy w lesie nie zostałeś zaczepiony przez kogo?

— Nie szedłem przez las, milordzie, i dopiero po modlitwie i odpoczynku miałem się udać w dalszą drogę.

— To szkoda! — odrzekł rycerz, powiadają,—że w lasach tych drogi niebezpieczne, pełne zbójców napadających na wędrowców.

— Pocóżby na mnie mieli napadać? Jam człek biedny, szata na mnie uboga, a całe moje mienie, milordzie, ot, ta torba żebracza, z kawałkiem chleba...

— Ho! ho! znam ja was, udani pobożnisie, co pod pozorem pokory i ubóstwa, czarta w sercu pielęgnujecie, a złote cekiny w torbie żebraczej...

— Moja pusta! — zawołał pielgrzym z gwałtownością niezwykłą,—niema w niej choćby jednego miedziaka, ot, patrz, rycerzu, patrz...

— Nic, milordzie, nic, ale...

Pielgrzym nie dokończył swej mowy, bo nagle z kniei leśnej po za nim będącej, warknęła strzała, z łuku wypuszczona i odbiwszy się o szyszak rycerza Remigiusza, z łoskotem upadła na ziemię. Od siły ciosu rycerz zachwiał się na siodle, koń spłoszył się ruchem jeźdźca niespodzianym, ale ten zaraz wrócił do równowagi. Strzała bowiem byłaby mu z pewnością głowę na wylot przebiła, bo twarz miał odkrytą i w nią pocisk był wymierzony, ale szczęśliwym trafem, rycerz nagle zwrócił się do swych podkomendnych i to go ocaliło, a strzała ostrym grotem zamiast w twarz, uderzyła go w tył głowy, osłoniętej hełmem żelaznym i tylko go wyszczerbiła, przebić nie zdoławszy. Jedna sekunda stanowiła tu o życiu rycerza, jeden ruch przyniósł mu zbawczą osłonę.

— Ach, zbójcy! — zawołał Remigiusz z największą gwałtownością, zapuszczając na twarz żelazną przyłbicę.—Poskoczcie w knieje, przepatrzcie wszystkie nory i wydobądźcie nikczemnego napastnika, choćby z pod ziemi! Dalej, naprzód! ja czuwać będę od pola, aby się z lasu nie wymknął. I wyrzekłszy to, Remigiusz ruszył cwałem, a pielgrzym zaraz zwrócił się na drogę w głąb jego idącą i wkrótce zniknął w leśnej gęstwinie.

Nowa znajomość.

Las, przy którym nastąpiło spotkanie pielgrzyma z Remigiuszem, należał do własności królów angielskich. Pełno w nim było zwierzyny, jeleni, sarn, dzików, a w obszarach stepowych i w pobliżu bagnistych kniei, napotykano stada żubrów. W zaułkach zaś górzystych mnożyły się borsuki, żbiki, kuny, równie drogocenne, jak sobole; przy jeziorach czatowały błotne orły, z rozłożonemi skrzydłami, mające do dziewięciu stóp długości. Po pobrzeżach piaszczystych przebiegały stada dropiów, po pół setki sztuk liczące, na które z hartami polowano, a na nizinach zwykle dość mokrych, gromadziły się liczne stada żórawi i różnego brodzącego ptactwa.

Dla myśliwców też zwierzyny nie brakowało, ale myśliwstwem lubili się zajmować także królowie angielscy, różni dostojnicy, panowie i magnaci. Broniono więc w dużych obszarach leśnych polo-

wania obcym, a to z obawy, aby lasy otwarte dla wszystkich, ze zwierza dzikiego nie zostały wyniszczone. Ale między osadnikami rolnymi było wielu także ochotników do wypraw myśliwskich, niemałe przynoszących korzyści; stąd więc powstawały tajemne do lasów wycieczki, liczne nieporozumienia, zawzięte waśnie, a nawet napady, bitwy i zabójstwa.

Pielgrzym jednak nie zajmował się rozważaniem tego bogactwa leśnego, tak wielce ponętnego dla wielu i idąc pospiesznie, w myśli szeptał do siebie:

— Tak, to on, ten sam... ta sama hardość w mowie i srogość w duszy. Jakież szczęście, że nie poznał mnie... lat tyle... obszedł się ze mną, jako z psem, nastawił zbójców i musiałem kryć się...

Droga, którą posuwał się pielgrzym, nie była zbyt szeroką i wiła się przez gąszcz leśny, według tego, jak łatwiej można ją było przeprowadzić. Czasem okrążała bagno, to znów podnosiła się w górę: czasami tak się zwężała, że spadające gałęzie z drzew obocznych zasłaniały ją zupełnie. Pielgrzym, wszedłszy na nią, tak zajęty był spotkaniem się niespodziewanem z rycerzem Remigiuszem i sceną, jaka się odbyła, że nic nie słyszał, jak wśród ciszy leśnej rozlegał się chrupot łamanych gałęzi, szum liści posuwający się pospiesznie w głąb kniei, jakby się kto przez nią przedzierał, parskanie koni i tętent ich kopyt. W oddaleniu zaś, gdy głosy powyższe zaczęły się przyciszać, dało się słyszeć, jakby nawoływanie bardzo do głosu puszyka podobne i chrapliwy ton trąbki dosyć przygłuszony.

Pielgrzym długo tak szedł w zupełnej samotności i ciszy, jaka znowu zapanowała, gdy nagle z przydrożnego gąszczu wysunął się jakiś mężczyzna, lat około czterdziestu, krępy, krzepki, wzrostu niezbyt wysokiego, ale silnej budowy i śmiałego spojrzenia. Ubrany był w kaftan z jeleniej skóry, w biodrach ściśnięty takimże pasem, za którym sterczała rękojeść sztyletu. Na sobie miał łuk ze strzałami, u boku trąbkę na sznurze misternie uplecionym, na głowie kapelusz ozdobiony sokolemi piórami, w ręku grubą pałkę drewnianą, nabitą sękami, której dolny koniec grotem żelaznym mógł przebić człowieka, a górny ciężką kulą zdruzgotać mu czaszkę.

— Wędrowny pielgrzymie — odezwał się nieznajomy — idziecie zapewne od pola, powiedzcie mi, co tam stało się, co znaczą te krzyki, które doszły do mych uszów?

— Nie wiem, mężny łuczniku! — odrzekł pielgrzym.—Spoczywając przy krzyżu pod lasem, nadjechał rycerz z Duplanu, lord Remigiusz Samson, z czterema zbrojnymi giermkami...

— Czyż się nie mylicie? — przerwał łucznik.—Rycerz z Duplanu, czyli zbójca z warowni Duplanu, już dawno w Yorku się znajduje...

— O tem nic nie wiem, ale że przed chwilą rozmawiałem z nim, to was najuroczyściej mogę zapewnić. Znam go dobrze.

— To dziwne i o czemże rozmawialiście? — zapytał nieznajomy.

— Pytał się, czy przez las można przejechać bezpiecznie i gdy o tem toczyły się rozprawy, nagle strzała warknęła z kniei i uderzyła go w szyszak w tył głowy...

— Strzała? I któż ją wypuścił? — zapytał nieznajomy.

— Nie wiem — odrzekł pielgrzym,—pan z Duplanu, jak się łatwo domyśleć, wpadł w gniew straszliwy i potem...

— Nic dziwnego — mruknął łucznik—i cóż potem?

— I potem giermkowie — mówił dalej pielgrzym, poskoczyli w las dla wyszukania napastnika, a ja, korzystając z zamieszania, szybko odszedłem, aby jak najprędzej zejść z oczów temu gwałtownikowi.

— Dobrzeście go nazwali — odezwał się łucznik,—widać, że go dobrze znacie.

— Byłem w jego służbie... Ale to dawne czasy i przeklinam chwilę, w której się do niego zbliżyłem.

— Tak, wszyscy go przeklinają, ale skryta napaść z zasadzki— zawołał łucznik,—to nie przystoi nam, wolnym strzelcom! I pomyślawszy potem chwilkę, zapytał:

— Wędrowny pielgrzymie, powiedzcie mi, dokąd idziecie?

— Nie wiem — odrzekł pielgrzym ze smutnem westchnieniem. Idę, gdzie mnie nogi niosą, a oczy prowadzą, zwyczajnie, jak w służbie Bożej, której się poświęciłem. Ni ja dachu, ni schronienia, zwiedzam miejsca święte, a wracam od Grobu Chrystusa Pana z Jerozolimy.

— O! to z dalekich stron wędrujecie — odrzekł łucznik,—nic wam zatem na pośpiechu nie zależy, a że torba wasza musi być pusta, to nie pogardzicie zapewne kawałem jeleniej pieczeni i odpoczynkiem pod szałasem biednych ludzi. Będziemy wam radzi i cała moja gromada, słuchać będziemy waszych opowiadań, a i z dziadulkiem naszym ugadacie się, a człek to wiekowy i bardzo rozumny, gdy mówi, to uszom trudno dosyć nasłuchać się, choć w sercu coś jakby się na płacz zbierało. Chodźmy więc!

— Bóg zapłać za zaproszenie — odrzekł pielgrzym,—pójdę kiedy każecie, tylko... widzicie... czasami padają na mnie jakieś dziwne

tumany... co mnie jak uchwycą, to potem gonią w świat, że uciekłbym sam przed sobą, gdybym tylko mógł.

— Tumany, powiadacie? — zapytał łucznik z zabobonnym przestrachem. Cóż to za tumany takie złośliwe?

— Nie wiem, ale strasznie dokuczliwe — odrzekł pielgrzym. Widać, że cosić mnie opętało... ktoś czary na mnie rzucił.

Łucznik spojrzał na pielgrzyma, przeżegnał się i cokolwiek odsunął. W owe czasy wierzono w podobne gusła, że czarownice mogą ludzi otumaniać czarami. Gdy więc pielgrzym zrobił wzmiankę o czarach, łucznik nagle zawołał z niezmiernym podziwem:

— To powiadacie, że w was czary siedzą?

— Nie, dzielny łuczniku—odrzekł pielgrzym, nie siedzą ciągle, tylko napadają czasami i wtedy radbym się skryć pod ziemię, uciec, gdzie na krańce świata, byle tylko tu, w mem wnętrzu przycichło... i tak nie wymordowało.

Łucznik pokręcił głową, popatrzył na pielgrzyma ze współczuciem i potem rzekł:

— Ha! różnie z ludźmi bywa, zrobicie więc wszystko według swej woli, nikt was zmuszać do niczego nie będzie, ale gdy z dziadulkim naszym pogadacie, to on znajdzie radę na biedę co was gnębi, bo to człek, któremu nikt nie dorównywa.

— Ha! to i pójdę.

— Pójdźmy, wędrowcze, powiedzcie mi tylko jakie wasze miano?

— Mnie ludzie zowią Robin-Hoodem, albo Dilkem, albo wolnym, dzielnym łucznikiem i ta nazwa najlepiej mi się podoba.

— Więc to wy jesteście Robin-Hoodem, którego nazwy pan z Duplanu nawet wysłuchać nie może bez strasznego gniewu?

— I ja jego nazwę z obrzydzeniem tylko wymawiam—odrzekł Robin. Żyjemy z sobą, jak chart z zającem i upatrujemy gałęzi w lesie, na której ma jeden drugiego powiesić...

— Och! — zawołał pielgrzym, — aby go to nie minęło...

— Postaram się o to — z uśmiechem mruknął Robin, — ale powiedzcie mi, pobożny pielgrzymie, czy w tych stronach przebywaliście kiedy, skoro jak widzę pana z Duplanu tak dobrze znacie?

— Tu się urodziłem — odrzekł pielgrzym i kiedy byłem młodem pacholęciem, to... zwano mnie Marcinkiem pastuszkiem, potem Marcinem Kardwellem, dziś zowią Marcinem, starym Marcinem, a gdy tęsknota na mnie padnie, dodają miano Półgłówka.

— Półgłówka? a to z jakiego powodu? — zapytał Robin, ale mniejsza o miano, można zwać się półgłówkiem, a mieć całą głowę.

— O! gdyby tak było! — szepnął pielgrzym.

Wędrowcy oba wyruszyli wreszcie w drogę i ciągle podróż swą uprzyjemniali rozmową. Pielgrzym opowiadał szczegóły swej wędrówki po obcych krajach, przez jakie przechodził miasta, wsie i grody, jakie rzeki przepływał i morza, jakich ludzi napotykał, jakich doświadczał bied i niebezpieczeństw i jak nieraz od śmierci prawie tylko cudem został ocalony.

— I nieźle mi się działo!—mówił dalej rozgadawszy się. W wojennej służbie u margrabiego Konrada Montferratu zebrałem nawet trochę grosza samem złotem na odkupienie kolonii, którą zmarnowałem, w świat się wybierając, ale w powrocie, dochodząc do Trypolis, skąd miałem okrętem popłynąć aż do samej Anglii, zostałem przez arabskich rozbójników napadnięty i ograbiony co do jednego grosza. Zbity, poraniony, ledwo dowlokłem się do portu, w którym na szczęście na jednym z okrętów, przyjęto mnie do ogólnej posługi. Nie zapomnę służby tej przez całe życie, posługiwano się mną, jak mułem, albo wielbłądem. W podróży myślałem, że nie wytrzymam, że lada chwila wystraszą ze mnie duszę, a gdy wreszcie mieliśmy wylądować na angielską ziemię, odebrano mi okrętowe szaty i dano ten łachman pielgrzymi, pozostały po zmarłym pielgrzymie z Palestyny. Otóż i wlokę się, a gdym tylko nogę postawił na ojczystej ziemi, opanowała mnie dziwna boleść, jakiś żal, smutek ot, te czary, o których wspomniałem...

Tak rozmawiając, Robin skręcił w bok gąszczu leśnego, przemknął się chyłkiem około kamienistego wzgórza i przystanąwszy, ozwał się głosem derkacza, gdy nocną porą żeruje w mokradlach. Niedługo z niziny jakiejś głębokiej podobny głos odpowiedział i wkrótce wysunął się, jakby z pod ziemi mężczyzna, zupełnie, tak samo, jak Robin ubrany i uzbrojony. Marcin drgnął, bo zdało mu się, że to duch, a nie żywy człowiek, zwłaszcza, że wyniosłej postawy, sztywny, jakby kij połknął, stał w miejscu, nic się nie poruszając.

— Czy w strażnicy czuwacie? — zapytał Robin tajemniczego przybysza.

— Jest nas czterech — odrzekł zapytany, — a Nobs podsunął się ku pobrzeżu leśnemu.

— Więc to Nobs musiał się napaści na pana z Duplanu dopuścić — zawołał Robin. To źle, to bardzo niedobrze, powiedz mu, Parkesie, że nieporządku znosić nie mogę...

— Wiem to, wodzu!—ozwał się w tej chwili, wysuwając się z pomiędzy gąszczu leśnego główny winowajca Nobs, łucznik i towarzysz Parkesa.—Wiem to, wodzu—mówił dalej,—ale gdy go ujrza-

łem z odkrytą twarzą, rozmawiającego z jakimś wędrowcem, nie mogłem powstrzymać chętki zakończenia z nim rachunku, a tak dogodnie stał do celu z głową odsłonioną, że ani wiem, kiedy się zmierzyłem i pociągnąłem za cięciwę. Ale...

— Dość tego! — przerwał Robin rozkazująco.—Nie jesteśmy zbójcami, tylko ludźmi łaknącymi sprawiedliwości. Gdyby każdy według swej niechęci mścił się za krzywdy doznane, to wprędce wpadlibyśmy w takie zamieszanie, że niktby nie wiedział, kto mu wróg, a kto przyjaciel.

— Przebacz, wodzu! — szepnął Nobs.—Gdyby nie gąszcz leśny, byłbym z pewnością schwytany i natychmiast powieszony. Gąszcz ocalił mnie, a cierniem i głogiem, patrz, wodzu, jak pokiereszował... szczęściem, że oczów nie wydłubał.

Robin przypatrzył się młodemu awanturnikowi, uśmiechnął się z jego zafrasowanej twarzy i wrócił do drogi przed chwilą porzuconej.

— Zaprowadzę was teraz do naszego poczciwego dziadulka — odezwał się Robin,—będzie to dla niego radość niemała, a i dla was miły wypoczynek.

Po odpoczynku przy źródle, do którego wędrowcy doszli, spuszczając się stromą niezmiernie ścieżką, las zaczął się przerzedzać, gąszcz niknąć i niebawem znaleźli się na wyniosłości, z której otwierał się prześliczny widok na obszerną dolinę. W środku niej na skalistej wyżynie, sterczał obszerny, drewniany zamek, mający na rogach wysokie wieże z obszernym gankiem u ich szczytu. W otoczeniu, oprócz mieszkania dla rodziny właściciela, znajdowały się budynki gospodarcze, stajnie, obory, chlewy, składy i spichlerze, a wszystko to ogradzał wysoki mur, głęboki rów wodą napełniony i wał ziemny najeżony palisadą. W okolo zaś tej siedziby możnego pana, przy rzeczce przepływającej przez całą dolinę i ginącej daleko na widnokręgu, rozrzucone były małe osady rolnych gospodarzy, a w pośród nich, niby czujny strażnik nad całą osadą, wznosił się kościołek z wieżycą krzyżem zakończoną. Okolica ta cała zamknięta lesistemi wzgórzami, roiła się od pracowników tak w polu jak przy domostwach, z których tu i owdzie a nawet w zamku z drzwi wchodowych snuł się dym wielkiemi kłębami, gdyż kominów wówczas jeszcze nie znano.

— Oto wioska nasza Strenfor — zawołał Robin, zatrzymując się na wyniosłości górującej nad doliną.—Te budynki na wzgórzu, to zamek Strenfor, dziedzictwo Mak Kalumorów, naszych dobrych panów. Gdyby wszyscy byli tacy jak oni, działoby się tu inaczej, ale

i nas gnębią i ich toż samo i radziby wydrzeć im wszystko co posiadają. Tam znów, jak strumień załamuje się, — mówił dalej Robin wskazując końcem swojej palki,— przy tej kępie drzew osłaniającej małe zabudowanie, — to stoi osada, w której poczciwy dziadulek z dwoma krewniakami gospodarzą, gdy ja zajmuję się polowaniem, bez którego wyżyćbyśmy nie mogli. Po przeciwnej stronie ciągną się grunta zamkowe, które suną się dalej przez długą bardzo dolinę, aż do nowej osady zwanej Mac-Kalum, z której nasi panowie pochodzą.

Osada, którą Robin nazwał swoją, znajdowała się tuż przy strumieniu i równie była skromną jak wszystkie inne. Składała się z chaty mieszkalnej frontem do drogi zwróconej, ale zbudowanej jakby na prędce, jakby budującemu brakło czasu do jej wykończenia. Cztery małe okienka różnej wielkości osłaniały zasuwy, w czasie niepogody tylko się zamykające; ściany z okrąglaków nieociosanych ułożone, wylepione gliną, były pochylone, pokrzywione i obłożone dokoła warstwą podściołu. Za tą budą mieszkalną znajdowały się inne gospodarcze budyneczki dla inwentarza i brogi ze słomą i resztkami niedomłóconego owsa i żyta: stodół w Anglii do dziś dnia nie używają, gdyż skutkiem wilgotnego klimatu, w zamknięciu zboże gniłoby, przechowują je więc w stogach i stertach. Przed chatą na prostej ławce ułożonej z deski na dwóch pniakach wkopanych w ziemię, siedział starzec omszały wiekiem, trochę przychylony, ołysiały z długą siwą brodą, ale czerstwy i ze spojrzeniem bardzo ożywionem. Przed nim stał młodzieniec przeszło dwudziestoletni, wyglądający jak kwiat najurodniejszy przy badylu w połowie uschniętym i z liści opadłym. Obadwa ubrani byli jak łucznicy, w kaftany a raczej w kurty z jeleniej skóry; młody trzymał miecz w ręku i wywijał nim, jakby się wprawiał w odpowiednie poruszenia, a starzec pilnie się temu przypatrywał i dawał odpowiednie wskazówki. Obok niego leżał łuk z pękiem strzał a na umyślnym przyrządzie wisiała cała rycerska zbroja żelazna i broń do niej należąca. Wszystko to przykrywała gruba osłona wełniana równie grubem płótnem podszyta. Starcem owym był tak zwany przez Robina poczciwy dziadulek, Adam Wolseley, patryarcha całej wsi, przez mieszkańców jej nadzwyczajną czcią otaczany, tak z powodu wieku jak i rozsądku, jakim się zalecał. Stojący zaś przed nim młodzieniec był jeden z jego krewniaków szczególniej ukochany, zwany Alanem Wolseley. Gdy młodzieniec po kilkunastu ruchach dość męczących, zaprzestał szermierki, dziadulek rzekł:

— Dobrze i śmiało używasz już miecza, ale jeszcze brak ci dokładności w poruszeniach nagłych i niespodziewanych. Niegdyś słynąłem z nich, gdym służbę pełnił giermka przy boku rycerzy, dziś z tą łatwością już nie dźwignę miecza co dawniej, ale nauczyć kogoś mogę.

— Tego tylko pragnę, mój dziadulku kochany,—odrzekł Alan— bo wiesz, jak niecierpliwie wyczekuję chwili przyłączenia się do krzyżaków, walczących z niewiernymi w obronie Grobu Świętego.

— Wiem, moje dziecko, i zapału, jaki cię ztąd ożywia, nie ganię a nawet błogosławię...

— W tych dalekich stronach świata, — mówił dalej Alan, — walczyłeś ty, mój dziadulku kochany, walczył i mój ojciec, więc i ja radbym pójść za waszym przykładem i służąc Bogu, zdobyć dla siebie honor rycerski...

— Nie mów tak, moje dziecko, — przerwał dziadulek, — Bóg przyjmuje dobrobliwe ofiary, ale tylko od ludzi czystego serca, co na myśli mają tylko chwałę Bożą a nie siebie. Honor rycerski święta rzecz gdy służy do obrony a nie do ucisku. Zrodziłeś się przy roli, pilnuj jej, nie gardź pracą do niej przywiązaną, nie pragnij wyniesienia, za którem człek, wspinając się, często pada i kark skręca. Co ci potem? Czyż ci w mierności braknie chleba? Czyż tylko w honorach i bogactwie szczęście się mieści? Już kończę lat osiemdziesiąt, pracę zacząłem od roli i przy niej żywot kończę, choć rycerstwem zabawiałem się w młodych i średnich latach. I nie żałuję tego, że mi w prostocie i mierności przechodzi. Widzisz moje dziecko, rolnik przy pracy wznosi myśl do Boga, bo plon z niej od Boga zależy: człek orężny baczy tylko na tego co mu rozkazuje. Rolnikiem też Bóg się opiekuje, człekiem rycerskim ludzie.

Gdy tak rozprawiał dziadulek a Alan słuchał z największą uwagą, na drodze ciągnącej się z tyłu osady, pokazały się dwie kobiety jadące konno, z których jedna młodziutka jak jagódka świeżo zarumieniona, miała zaledwie piętnaście latek, a druga znacznie starsza zdawała się być jej ochmistrzynią. Obie były w powłóczystych ciemnych sukniach, małych kapelusikach i zręcznie wierzchowcami powodowały. Za niemi jechało czterech zbrojnych rycerzy i dwóch z krótkiemi jedynie mieczami przy boku i ci trzymali na grubym drążku zwanym berłem, dwa zakapturzone sokoły.

W owych czasach ptaków tych używano do polowań na czaple, dla zdobycia piórek z ogona i skrzydeł tego ptaka, służących do przystroju zarówno głów męzkich jak i kobiecych. Gdy kobiety zrównały się z dziadulkiem, panienka jadąca przodem, z radosnym

okrzykiem podsunęła się ku niemu wołając z uczuciem wielkiej serdeczności:

— Ach! ojcze chrzestny, jakiż to dzień szczęśliwy, że was przed chatą spotykam. Nie widziałam was tak dawno, cóż się z wami działo?

— Dziecię moje, kochana moja Blanko, — odezwał się dziadulek, — odwiedzałem wnuczków i prawnuczków, bo czasu już mało przedemną.

— Och! ojczusiu, nie mówcie tak! — zawołała Blanka. — Podawaliście mnie do chrztu świętego, musicie pobłogosławić jako oblubienicę, bo powiem wam pod wielkim sekretem...

I Blanka z buzią wielce ożywioną obejrzała się wkoło, rzuciła przelotne spojrzenie na Alana i nachylając się z konia do samego ucha staruszka, — mówiła dalej:

— Pamiętajcie tylko, żeby się Alan o tem nie dowiedział, bo by później wyśmiał mnie...

— Bądź spokojną, moja szczebiotko kochana, wszak wiesz, żem dobry do sekretu.

— Wiem, wiem, otóż powiem wam, ojczulku, że opiekun mój Mak-Kalumor, powiedział wczoraj, że mnie musi wydać za mąż za jakiego sławnego rycerza. Jak to usłyszałam, myślałam że się spalę, tak się zarumieniłam, a potem, tak mi się śmiać chciało, że długo, długo chichotałam nie mogąc się uspokoić. Opiekun nazwał mnie śmieszką, ochmistrzyni roztrzepanicą, a ja śmiałam się ciągle, bo było śmiać się z czego. Widzisz, ojczulku, ja wiem za kogo mnie chcą wydać, — i przyciszając głos, mówiła dalej: — za Jana Kobdena, pana na zamku Brandwol, co to mówią o nim, że taki rozlazły, iż gdy ruszy nogą, to nim drugą podniesie, już zapomina gdzie ma ją postawić, a ja takich nie lubię, oj! bardzo nie lubię, oj! bardzo nie lubię. Kiedy Alan bywał w naszym zamku, tośmy się z niego nieraz dobrze naśmiali, chociaż ksiądz kapelan co nas uczył, gniewał się o to. Przypominasz to sobie, Alanie?...

— Zapewne pamiętam, tylko nie wiem, o co tu idzie panience?

— O co? A o cóż innego jak nie o pana Jana Kobdena?—odrzekła Blanka, chmurząc buzię. — Jakżeś niedomyślny!

— Zkądże mogę wiedzieć, że o tym marudzie panienka...

— Alanie! ani słowa więcej, — zawołała Blanka z żartobliwym uśmiechem, kładąc palce na ustach,—pan Jan Kobden został moim narzeczonym, to żartować z niego nie należy.

(D. c. n.)

Marcin Kopiec.

Z HISTORYI ŚLĄSKA.

Walka z luteranizmem.

Procesye Wielkanocne młodzieży lubomskiej w powiecie raciborskim na Górnym Śląsku, oraz autentyczny dokument z roku 1672 o tychże procesyach.

Ksiądz Józef Gregor, proboszcz tworkowski na Górnym Śląsku pod Raciborzem, wielki miłośnik historyi Śląska i badacz jego przeszłości, wydał w ostatnich czasach w języku polskim mapkę Górnego Śląska z uwzględnieniem stosunków językowych, granic powiatowych i kolei żelaznych.

Ślązacy, o ile się uświadomili w swoim poczuciu narodowem, nie mogli jednakże określić położenia geograficznego ziemi śląskiej, w której żyją i w której się rozbudzają i rozwijają.

Temu brakowi zapobiegł ks. Józef Gregor, wydając mapkę Śląska, nader starannie opracowaną.

A jak zaś dalece mapka Śląska ks. Gregora przystępną jest dla ludu, dowodzi, że wydana jest oprócz mniejszego i większego formatu — nawet na pocztówkach, której sztuka kosztuje 5 fenigów, około 4-ch groszy.

Z jakim to trudem i mozołem dopiąłem swego zadania — mówił Szanowny ks. Gregor.—Nazwy polskie miast, wsi, osad, rzek i ich dopływów urzędowo z ksiąg powykreślane i zapomniane.

— Jeździłem w niemieckie okolice, które dawniej polskie były. Odszukiwałem najstarszych ludzi, badałem księgi parafialne, śledziłem, aż wreszcie z pomocą Bożą odszukałem te zaginione drogie skarby naszego języka polskiego i dziś nazwy geograficzne w mapie mojej przedstawiają się tak, jak się przedstawiały za czasów Piastowych.

Przegląd statystyczny w mapce Górnego Śląska, w opracowaniu ks. Gregora, przedstawia się jak następuje:

Górny Śląsk, czyli obwód rejencyjny opolski, ma 1,322,536 hektarów ziemi, czyli 243 mile kwadratowe. Dnia 1 grudnia 1900 roku liczono 46 miast, 1,500 wsi i 1,117 dworów w 25 powiatach (6 miejskich powiatów). Mieszkańców było w ogóle 1,868,146, mianowicie: katolików 1,681,400 (= 90%), ewangielików 165,971 (=8,9%) i żydów 20,270 (= 1,1%). Statystyka urzędowa liczy 1,048,255 Polaków (=58%), 684,397 Niemców (=38,5%) i 62,738 Czechów (=3,5%), a oprócz tychże 71,586 osób, mówiących po polsku i po niemiecku.

A zatem 25 powiatów na Górnym Śląsku, czyli w rejencyi opolskiej posiadają ogółem 1,322,536 hektarów ziemi, a liczba ludności wynosiła: w 1861 roku 1,137,844, zaś w 1900 roku 1,868,146.

Co do Polaków, to liczba ich wynosiła w 1861 roku 665865, w 1890 1,048,255.

Liczba wyznaniowców przedstawia się również interesująco. Przyrost katolików i protestantów jest znaczny. Liczba zaś żydów zmalała.

W roku 1861 było katolików . 999,863,
protestantów 105,665,
żydów 20,795.

W roku zaś 1900 było katolików . 1,681,400,
protestantów 165,971,
żydów 20,270,

czyli, że na 1000 dusz było katolików 900, protestantów 89,

Przyrost parafii katolickich jest również znaczny:

w roku 1861 było parafij 334
„ „ 1900 „ „ 402.

Tak się przedstawia przegląd statystyczny Górnego Śląska, opracowany przez tegoż kapłana, a nie zawadzi, jeżeli go w naszej pracy „o procesyach wielkanocnych młodzieży lubomskiej“ dla czytelników naszych pomieszczamy.

Ks. Gregor odszukał w bibliotekach parafialnych cenne zabytki z przeszłości Śląska, jak: wiersze, poezye, powinszowania noworoczne i inne, które zamieścił w „Archiv für Slavische Philologie“ i bada dawniejsze obyczaje i zwyczaje ludu górnośląskiego.

Jeden z tych dawnych obyczajów, to procesye wielkanocne młodzieży lubomskiej, które organizują się w niedzielę wielkanocną po nieszporach.

Dziewice i młodzieńcy zbierają się pod gołem niebem, pod przewodem starosty gminnego i obierają z pomiędzy siebie, tak zwane-

go przewodnika młodzieży, czyli wójta (Foita) pacholczego. Oprócz tegoż wójta, wybierają jeszcze 18 ławników i prawników, a także dwóch stróżów do niesienia figur: Ukrzyżowanego Chrystusa Pana i Zmartwychwstałego Chrystusa Pana. I dziewice bywają wybierane do noszenia obrazów.

Wyborcy młodzieńcy i wyborczynie dziewice winni być pełnoletni i nieposzlakowanej konduity, gdyż urząd, jaki im polecono, stanowić ma pilnowanie tradycyi, obyczajów i utrzymanie porządku.

Bywają i kary naznaczane i tak:



Pocztówka z mapką Śląska Pruskiego, ułożona przez ks. Gregora, pod pseudonimem X. G. Piast.

Surowo zakazuje się młodzieńcom i to pod karą 50 fenigów (22 grosze), włóczyć się w godzinach wieczornych, w czasie od Wielkiej Nocy aż do Zielonych Świątek. Takąż karę płaci ten, coby przemówił choćby w cztery oczy do dziewczyny.

Po ukończonej naradzie młode to towarzystwo udaje się gremialnie do miejscowego proboszcza i donosi mu o zapadłych uchwałach. Następnie odwiedza znajomych, a przedewszystkiem tych, których swojemi odwiedzinami zaszczycić pragnie. Tych to znajo-

mych towarzystwo pozdrawia w Imieniu Zmartwychwstałego Chrystusa Pana.

W krótkim czasie też po odbytych ceremoniach u znajomych i przyjaciół sprowadzają chorągwie i inne przedmioty kościelne— i rozpoczynają się procesye w terminach oznaczonych.

Procesye te odbywają się w każdą niedzielę, a także 4 maja, to jest w dzień świętego Floryana i 25 maja w dzień świętego Urbana.

Dokument z roku 1672 o procesyach wielkanocnych młodzieży lubomskiej odnaleziony tamże w archiwum parafialnem, udzielił mi łaskawie ks. Gregor.

Podajemy go też naszym czytelnikom dosłownie ze wszystkiemi znakami, kreskami, błędami, kreśleniami i z ortograficznemi właściwościami. Tam bowiem naleciałości niemieckich nie znajdujemy.

„Niechay wszystko bęndzie na cześć Bogu wtroycy świętey iedinymu, a na chwałym [1]) niepokalaney Pannie Maryi, iak też na większą ucziwość patronce naszey Magdalenie świyntey, i wszystkim świyntym.

My Młodzincy wszyscy iak swoyscy tak służebni temże spusobym [2]) i wszystki Dzieweczki na tyn czas wdzedzinie Lubomi zastawiaąncy w Roku 1672 w Poniedziałek zmartwych powstańia Zbawiciela naszego na mieysce pewne wszyscy społecźnie zeszlismy się, a spoln [3]) — (oto) staranie mielismy, iakim sposobym, my Grzysznicy z onymi Maryami z Grobu powstałego Jezusa Nasarańskiego szukać mielibysmy.

Toli iednak dosnawszy w tym Effecie [4]) Ducha swiyntego umyslyli i wom [5]) to użyczyli, żebysmy nie tylk [6]) my ktorzy ieszcze do woli Bożey zyjymy, ale też i ci, ktorzi po nas na staną, i na tymże Lubomskim Gróncie społecźnie z Dzieweczkami zostawać bęndą, począnwszy od wtoku Wielkanocnego, aże do zesłańia Ducha swiyntego, w kazdą niedzielę i w każde zaswiyncone [7]) swiynto, po połudńiu około Gminu Lubomskiego, s wielkim Nabożyństwym, rosmyslaiąnc sobie (ono) — Odkupiynie nasze, ktore sie stało przes smartwych powstańie, od umarłego Pana i Zbawiciela od prawiali.

Jak też i zakazujymy, gdzie iuż tu potrzeba bęndzie poniechać, pod naznaczoną kościelną Pokutą, wszelakich niesłusznych rzeczy. Czego uchowey Pańie Boże iżby się przy takowych Procesyach takowe nierząndy znaydować miały. A dla lepszego tego uwarowańia raczey każdo roczńie dwuch stróżów żeby tego pilńie postrzy-

[1]) chwałę, — [2]) znaczenie czeskie, — [3]) społu, — [4]) efekcie, — [5]) wam, [6]) tylko, — [7]) zaświęcone.

gali obiyrano, a tak wszyscy na to poswoliwszy i Jednotę przyjąwszy przy Upełney Gromadzie, ktora sie swykła w dzień Urbana swiyntego odprawiać. Nayprzod ukłoniwszy się wysoce uczonymu, iego Mości Xiędzu Fararzowi, i Dusz naszych na tyn czas Pastyrzowi Wielebnymu Panu Laurentymu Bernakdowi [1]) sławnego stołu Raciborskiemu w Duchowiynstwie Seniorowi, a potym też zacnymu Urzędowi Lubomskiemu i całey Opcy [2]) uńizyńie, ich oto prosząnc, by nam tego wiecznymi czasy od prawiać przyswolyli, a iak oni widzą iż to rzecz do nabożynstwa godna, nam tego i wszystkim po nas byndąncym Młodzincą [3]) i Dzieweczkom taką Procesyą dozwolyli, nas pilńie w tym napominająnc, żebysmy nayprzod z Boga a potym z siebie samych posmiywiska poprzestawszy tego [4]) na potomne czasy nie uczyniyli, a maiąnc od swych mianowanego iego Mosci Xiędza Fararza iak też od zacnego Urzyndu i całey Opcy Lubomskie, [5]) pewne wynauczyńie i pozwolyli, a żebysmy też kościelnych na tych że procesyach Chorongwi nie psuwali, podług przemozynia [6]) ubóstwa naszego iednę parę Chorongwi s ktorymi na tych procesyach chodzić mamy sprawiyliśmy. To też iednak i to uważywszy sobie, że iako człowiek, tak też i te Chorongwie wieczne czasy trwać nie mogą. Roku 1674 [7]) w tym że wtorek Wielkanocny Schackę maiąnc, Foita i też cały Urząnd Młodzinski miyndzy sobą postanowiyli, żeby od datum tego roku wiecznymi czasy w dzień wtorku Wielkanocnego takowa Schacka bywała, a każdy Młodzińiec w przitomności Foita i całego Urzyndu Młodzińskiego, iedyn piyntok [8]) a iedna każda dzieweczka po iednym gryicaru oddawała do skrzinki Młodzińskie [9]), ktora się w kościele chować ma, takowe pińiendze, wiela sie ich wybierze chować maią a to dla tego żeby, po zniszczyńiu tych Chorongwi, którech [10]) my sprasprawiyli, insze zaś kupować mieli, a wiecznymi czasy aby takowe Chorόngwie nie zginyły wszak że to zdobrem umysłym uczyńiwszy nayprzod Wielebnych a Dostoynych Ich Mościów Xiędzow Fararzow Lubomskich, ktorzi na Farze Lubomskie mieć aż do skończynia i Ruiny kosciоła Lubomskiego będą, a potym też i wszysckiey Obce Lubomskie, dla chwały Bózey uniszyńie i modlitebńie prosimy zeby wiecźńemi Czasy Pamiontka nasza i Constitutio ta nieginyła i kasyrowana niebyła, ale raczey niechay Popożnie [11]) Ludzie wiynkszy na to respect mają, żeby czym daley teym więcey Chwała Boga

[1]) Bernatowi, — [2]) Opcy = gminie, — [3]) młodzieńcom, — [4]) pośmiewiska, — [5]) deklinacya czeska, — [6]) podług możności, — [7]) powtórna narada,— [8]) piętak = 5 groszy czyli czeskich = 50 fenigów, — [9]) deklinacya czeska,— [10]) któreśmy, — [11]) pobożni.

wszych pomnożała sie a gdyby ćzasy na stały zeby Modzierz [1]) tak do Nabożeństwa oziąbła i niedbała by cie [2]) ich osobliwie Ktorzi Boga naten czas Miełować będą do takowego nabożenstwa mieli atego Im poprzestac nie dopuśćili oto ich powtornie prosim, Roku 1674 to Dzień Urbana S przitomnośći [3]) Upełne Gromady za po zwoleniem Jego Mośći X Larentego Bernada Fabryusa Faraza Lubomskiego i całe obce [4]) Lubomskiego Foyta i całego urzędu i na rzondow Mlodźinców i Dziew i wszystkie czeladzi iak Domowey tak cudze w dzienie [5]) w Lubomiskiey takowey swienty [6]) az sie im schwa luie a Duchwie [7]) wiécznymi czasy wszak bez przezkaki gwałtownie [8]) iednego kazdego Gospodarza Dolego [9]) przy Stało sie Roku i dnia ut suprawy a [10]) na mieyscu Całey opce nimaiąc sekretu [11]) tego doządalismy [12]) Jeg Mosci X by na mieysću naszem Sekreta swem [13]) to polwierdzieł [14]) Raczył to iest

dla

Johana Brudka.

Jeżeli się zastanowimy nad treścią powyższego dokumentu z roku 1672, to winniśmy postawić sobie pytanie: kto mianowicie jest ten Johan Brudek, do którego młodzież Lubomska z niniejszem podaniem się zwraca? Co spowodowało młodzież Lubomską do podjęcia tego tak wspaniałego czynu zaprowadzenia tamże po wieczne czasy procesyi wielkanocnych?—jaka przyczyna tej ostrej uchwały, którą młodzież sama na siebie włożyła: „ktoby się włóczył w godzinach wieczornych od Wielkiej Nocy do Zielonych Świątek, a nawet kto przemówi do dziewczyny w cztery oczy, podlega karze 50 fenigów = 22 groszy.

Wszystkie te szlachetne i chwalebne uchwały, były to przejściem z drogi występku na drogę cnoty i moralności — albowiem młodzież Lubomska szukała odrodzenia w procesyach wielkanocnych.

[1]) Młodzież, (głoska t sposobem śląskim zaniedbana), — [2]) ci, ich, co znaczy: ci z nich, — [3]) ma być w przytomności, w obecności, — [4]) ma być przecinek, — [5]) w dziedzinie, — [6]) Magdalena, miejscowa patronka (Lubomi), — [7]) acz się im schwaluje i dochowuje? — [8]) przezkazy gwałtownej? — [9]) niezrozumiałe, — [10]) utsupra, a wy niezrozumiałe, — [11]) sekret = pieczęć, — [12]) prosiliśmy, — [13]) pieczęcią swoją, — [14]) potwierdzić raczył.

W. Nehring.

Wieś Lubomia pozostawiła po sobie w magistracie Raciborskim akta sądowe, które nam wykazują ile osób winnych lub niewinnych tamże torturowano, spalono, powieszono, — ile krwi przelano. Krwawe to były czasy dla mieszkańców Lubomi.

I jakaż to wina na nich zaciążyła? Oto w Lubomi oraz i w przyległych wioskach wytworzyło się koło czarowników i czarownic, które Sejm ziemiański Księstwa Raciborskiego magistratowi Raciborskiemu surowo karać polecił.

Lecz, nim bliżej opiszemy, tę, w swoim rodzaju oryginalną, krwawą sprawę sądową, należy nam zapoznać się chociaż w krótkości z tą miejscowością, w której koło to czarodziejskie pod wpływem zabobonu harce swe wyprawiało.

Lubomia, to stara, bardzo stara wieś, w powiecie Raciborskim, na Górnym Śląsku. Leży w południowo-wschodniej stronie i po lewym brzegu rzeki Odry, mniej więcej $1^1/_2$ mili drogi od miasta Raciborza

Przemysław I [1]) najstarszy syn Władysława, zakładając księstwo i własną dynastyę na Raciborzu (1282), wieś parafialną Lubomia w spisie swoich majętności już był pomieścił — a było ogółem tych wsi 128.

Po wygaśnięciu linii Raciborskiej, za panowania cesarza Rudolfa od roku 1576 — 1598, spotykamy z r. 1595 spis majątków i wsi Księstwa Raciborskiego, z którego widzimy, że liczba zmalała do 26 wsi, a wieś Lubomia, była jedna z największych i najzasobniejszych. Liczyła 50 gospodarstw wraz z 17 zagrodnikami, które obejmowały ogółem 39 włók ziemi ornej, a oprócz tego, $6^1/_2$ włók ziemi należało do szlachty.

Wieś Lubomia musiała dostarczać Zamkowi Raciborskiemu roczny podatek, tak w naturze, jak i w monecie brzęczącej, a mianowicie: 10 talarów, 16 groszy i $9^1/_2$ halerów; 12 ćwiertni i 6 wierteli owsa — $12^1/_2$ kamieni wosku; — 198 kur i $8^1/_2$ kóp jaj.

Z tego widzimy, że podatek, jak na owe czasy nie był zbyt mały, że Lubomiacy, płacąc taki podatek nie należeli do biednych.

---

[1]) Przemysław i Mieczysław, najstarszy i najmłodszy syn Władysława rządzili księstwami: Raciborskiem, Oświecimskiem i Cieszyńskiem od roku 1282—1290. W roku 1290 nastąpił pomiędzy braćmi podział: Księstwo Oświecimskie i Cieszyńskie otrzymał Mieczysław, Raciborskie zaś zatrzymał Przemysław, ojciec błogosławionej Eufemii. Oświecim zniemczono na Anschwitz, lecz nazwa ta się nie utrzymała.

Przejdźmy teraz do powyżej wspomnianych krwawych wypadków, jakie spadły na mieszkańców wsi Lubomia.

Już w roku 1663 magistrat miasta Raciborza reskryptem z dnia 21 maja donosi staroście ziemiańskiemu, że z urzędowego rozporządzenia przyaresztował cały kołowrót (sic) czarownic i czarowników we wsi Nieboczowie, należącej do Wienczysława Reisewica i do więzienia miejskiego przeprowadził. A ponieważ na ścisłem śledztwie sądowem, przeprowadzonem podług prawa, — oddawszy ich dwukrotnie torturom cielesnym — podsądni zeznali, że mają (Complices) współwinnych, którzy w różnych miejscowościach uprawiają także sztuczki dyabelskie, przeto magistrat wysyła od siebie wójta i ławnika do starosty ziemiańskiego dla bliższego porozumienia się.

W zakończeniu tejże odezwy magistrat prosi starostę o przygotowanie patentu (ustawy), mocą którego możnaby zbrodniarzy do konfrontacyi wyłowić i przez sąd krajowy ukarać.

Już w trzy miesiące po tymże reskrypcie wystosowanym do starosty ziemiańskiego, spotykamy inny, pisany na dniu 28 lipca tegoż roku 1663 do starosty wsi Nowa-Cerekiew, w którym magistrat wyłuszcza żądanie, ażeby przyaresztowane: Annę Łykową (alias Snopczankę) i Annę Jaroszkową, jako obwinione o czarnoksięstwo na miejscu sądownie ukarać zezwolił, lub też wydał miastu poręczenie, że wrazie jeżeli obie czarownice na wolnej stopie pozostaną — żadne niebezpieczeństwo tutejszej okolicy grozić nie będzie.

Prześladowanie czarownic i czarowników rozpoczęło się na dobre w roku 1667. Z tego to okresu czasu mamy obszerniejsze akta, które nam wykazują jasny pogląd na postępowanie sądowe.

Na ławie oskarżonych zasiedli:

1)	dnia	16	sierpnia	Szymon Szymek, szewc z Syryni,
2)	„	18	„	Błażej Sztrak z Syryni,
3)	„	22	„	Katarzyna Mazur z Kornowacu,
4)	„	22	„	Jadwiga Nowak z Lubomi,
5)	„	23	„	Anna Warmuczyna z Lubomi,
6)	„	27	„	Dorota Sobczyna z Lubomi,
7)	„	27	„	Anna Kozub z Syryni,
8)	„	27	„	Anna Sojczyna z Lubomi,
9)	„	27	„	Elżbieta Pustelnicka z Lubomi,
10)	„	2	września	Helena Kokotka z Nieboczowa,
11)	„	2	„	Maciej Szymek, syn powyższego Szymona, szewca, z Syryni,
12)	„	6	„	Helena Kuchtowa z Grabowka,
13)	„	6	„	Maryanna Kempczyna, tkaczka, z Syryni,

14) dnia 6 września Piekarka z Lubomi,
15) „ 12 „ Anna Biertaska, szafarka, z Pogrzebienia,
16) „ 12 „ Agnieszka Wilkowa, masarka, z Pszowa.

Sąd podsądnym postawił następujące pytania, a mianowicie:

1) Kto ich nauczył czarodziejstwa?
2) Jak długo są czarownicami lub czarownikami?
3) Kto brał na pograniczu udział w tańcach czarodziejskich?

Po otrzymaniu odnośnej, choćby i podejrzanej odpowiedzi nowo-obwinieni zostali sprowadzeni, skonfrontowani i pod śledztwo oddani.

Zdarzyło się niekiedy, że obwinieni w czasie męczarni podawali osoby zupełnie niewinne, — takie, jakie im na myśl przyszły, podawały nazwiska osób, które wcale nie istniały, tak naprzykład: jedna z podsądnych podała, jako współwinowajczynię, niejaką Annę Czarenczynę, włościankę z Tworkowa, a gdy ją się następnie zapytano, kto jest ta osoba, wszakżeż osoby tegoż nazwiska w Tworkowie niema?—podsądna odrzekła: „Uczyniłam to z wielkiego bólu.“

Przy pierwszem przesłuchaniu podsądnych, które się odbywało w ratuszu, a po części w więzieniu, podsądni do winy się nie przyznawali. A chociaż, gdy oprawcy zastosowali pierwszy gradus tortur, to jest, gdy ich przywiązano do drabiny i stopy ogniem przypalono, czarownice zacięły zęby — milczały i słowa z ust nie wypuszczały, a zwłaszcza te, które ciała swoje maścią wysmarowały. Lecz, gdy przystosowano gradus drugi i trzeci, wówczas współwinnych wydawały — plotły, co im na język przyszło, — a przeważnie to, czego oprawcy dowiedzieć się chcieli.

I jakaż to zbrodnia ciążyła na przestępcach, od których sąd wymagał przyznania się do winy?

Oto oskarżenie:

Czarowniki i czarownice miały swoje zebrania. Schodzili się w czwartki i soboty, a przeważnie w nocy świętej Walpurgi [1]) w lesie na pograniczu pomiędzy Lubomią a Syryną. Było tam wesoło.

---

[1]) Wulpurga, albo Walpurgis (św), siostra świętego Wilibalda, † około 780 r., jako ksieni klasztoru Heidenheim pod Eichstädt, czczoną jest, jako ochronicielka od czarów i czarownic. Ponieważ 1 maja, to jest dzień jej czci poświęcony, przypadał jednocześnie z jednem z najważniejszych świąt pogańskich, przeto później rozrzerzyła się pomiędzy ludem prostym wiara, że w nocy z 30-go kwietnia na 1 maja, to jest w noc Walpurgi (Walpurgis nacht), czarownice zabawiały się ze swym mistrzem, dyabłem, na górze Blocksberg. (Encykl. Orgelbranda).

Uprawiano różne harce: jedli, pili, tańczyli, a młodzież, to jest pachołkowie wykonywali wszelką służbę i usługiwali do stołu.

Związek, czyli ślub z dyabłem odbywał się za pomocą pewnych bezbożnych i niemoralnych praktyk. A gdy tego dokonano, czarodzieje stali się wówczas wszechwładnymi i wszechpotężnymi.

Mogli sprowadzać słoty, deszcze, nawet pioruny, a z pomocą swego gulana (kochanka) czarownice mogły otwierać stajnie, obory i z krów dużo mleka wydoić, nawet wszelakiemu bydłu, a nawet i zbożu szkodę wyrządzić.

Jeżdżono także w powietrzu na miotłach, łopatach i kądzielach, lecz przed jazdą przedmioty te nacierano maścią czarodziejską.

Takie to sromotne oskarżenie ciążyło na tych prostaczkach, mieszkańcach wsi Lubomia w Księstwie Raciborskiem, nad którymi sprawiedliwy, o sercu zdziczałem, sędzia, zawiesił prawdziwy, najnajostrzejszy miecz katowski, którym nie pościnał głów, lecz wszystkich podsądnych na miazgę zgnieść i na proch spalić rozkazał.

W kilka dni po pierwszych przesłuchach rozpoczęto tortury we wszystkich trzech stopniach z 12-godzinną przerwą. Torturowano wszystkich, a następnie na popiół spalono. Niektórym tylko udzielono wyłącznej łaski, że ich żywcem nie spalono, ale im przed spaleniem wpierw głowy poucinano.

Niejeden też z czytelników naszych zastanowi się nad temi szczególnemi sądami, nad okropnymi, nerwy wstrząsającymi wyrokami, jakie sędziowie wykonywali na ciemnym, zacofanym ludzie, który w zabobonach szczęścia i uciech poszukiwał. Jednakże jakaś wina na nich ciążyć musiała, kiedy sędziowie, nie otrząsnąwszy się jeszcze z krwawych wrażeń wojen szwedzkich, ze zdziczałemi sercami uważali swoje okropne wyroki za sprawiedliwe. I za kradzieże stosowano tortury.

Zabobonu i innych przekroczeń, jednakże tak prędko z kraju nie usunięto. Widzimy to z uchwały z dnia 29 marca 1694 r. zapadłej w sejmie krajowym, w której wymieniono, że staroście miejskiemu i katowi należy się wynagrodzenie za każdy przez nich wykonany wyrok. Wynagrodzenie dla starosty miejskiego za jego usługi przy wykonaniu wyroków pomijamy. Natomiast interesująco przedstawia się rodzaj kar, przez kata wykonanych i tak:

1) powieszenie na szubienicy,
2) ucięcie ręki,
3) chłosta,
4) obcięcie nosa i uszów,

5) wypalenie znaku na czole,
6) łamanie członków na kole,
7) nadzianie głowy na tyczkę,
8) wplecienie delikwenta w koło,
9) zdarcie skóry
10) szczypanie kleszczami i
11) spalenie.

Za wykonanie na delikwencie jednej z powyższych kar, sejm krajowy z dnia 29 marca 1694 roku, przeznaczył katowi 1 talarek i 24 grosze, około $2^1/_2$ rubli.

A gdy delikwenta przeprowadzano z więzienia do ratusza, wówczas woźny sądowy w trzech miejscach wygłaszał jego winy, a za to otrzymywał 12 groszy = około 55 kop.

Czemu tak strasznie sądzono sądem sprawiedliwości tę nizką klasę ludu. Odpowiedź bardzo jasna, bo ten lud szukał szczęścia doczesnego, sprzymierzywszy się z dyabłem, a szczęściem tem dla tego ludu prostego było zadowolenie zmysłowości, żądz, zemsty etc.

Maryanna Kempczyna, stanąwszy przed sądem, do winy się przyznaje:

— Tak — rzekła — jestem czarownicą już od czasów szwedzkich. Czarodziejstwa nauczył mnie mój gospodarz Krzysztof Jancki— w Lutyni (Leuthen), u którego mieszkałam. Maście, któremi się nacierałam, sprowadzały tak rzeźwe, tak przyjemne marzenia, a będąc w tych marzeniach, bujałam, jeździłam w powietrzu i byłam najszczęśliwszą ze wszystkich istot żyjących na świecie.

Lecz nie wszystko było urojeniem. Faktem jest, że odbywały się na pograniczu pomiędzy Lubomią a Syryną nocne zebrania, na których uprawiano najróżnorodniejsze harce.

Kobza i duda, oto owoczesne instrumenta, które całe to koło czarodziejskie wprowadzały w tany. Bez dudy i bez kobzy nie było zabaw czarodziejskich. Lecz w temże kole, w tymże związku czarowników i czarownic wytworzył się inny, pod nazwą: „Związek kawalerów krzaczkowych.“ Do tego związku przystępowała młodzież: pachołcy, synowie rolników, zagrodników i chałupników. Ci to „kawalerowie krzaczkowi“ maskowali się za dyabłów, sprowadzali na koniach do koła czarodziejskiego te dziewczęta, które sobie upodobali. Głowy swoje przybierali w szyszak upstrzony piórami gęsiemi.

Jeden z tychże „kawalerów krzaczkowych“ — jak wspominają akta sądowe — ofiarował piekarce z Lubomi dukata, którego na

granicy w kole czarodziejskim przepito. Szynkarką w tymże kole czarodziejskim była Anna Kołodziejowa z Ligoty Tworkowskiej.

W owym to czasie przywędrowali z Węgier na Śląsk mężczyźni i kobiety i ci to obałamuciwszy niedoświadczonych, sprzedawali im różne zioła i różne maście, namawiając ich przytem do schadzek, które w oznaczonym przez nich terminie na pograniczu pomiędzy Lubomią a Syryną naznaczali. Jeden z tych głównych przewodników, był niejaki Dassmunek = Deutschmanek (niemiec), pochodzący z Bukowa. Nam się jednak zdaje, że przewodnicy dążyli do tego, ażeby prostaczków zwieść z drogi moralno-religijnej, nie uczyli ich bowiem ani modlitwy, ani śpiewów nabożnych, lecz uczono ich śpiewów sprośnych, bezwstydnych... i tego, jak mają deptać własną godność człowieczą.

Uwiedzione niewiasty i wprowadzone do koła czarodziejskiego, uważane były za uprzywilejowane. Musiały też współtowarzyszom wyprawić libacyę, a ta składała się z pieczeni, ciasta, piwa i wódki. „Kto się zwraca do dyabła — odwraca się od Boga“. Temi słowy deptano skromność, wstydliwość i uczciwość. Taka bowiem była ich dewiza.

Pod dniem 21 sierpnia 1667 r. magistrat miasta Raciborza wysyła do starosty ziemiańskiego nową odezwę, a starostą był w owym czasie hrabia Euzebiusz Oppersdorf, ten sam, co Najjaśniejszemu królowi Janowi III, gdy jechał przez Śląsk na wyprawę pod Wiedeń, zastąpił drogę pod Rudami, zapraszając go w imieniu cesarza do siebie na zamek Raciborski, na obiad, który był wydał ku uczczeniu króla z kamery cesarskiej. [1])

W tej odezwie magistrat pisze:

„Ponieważ sędziowie przysięgli, a także i ławnicy z przyczyny procesów kryminalnych z czarownicami są bardzo udręczeni i uciemiężeni, a zło rośnie z dnia na dzień, przeto magistrat prosi ponownie, ażeby wszelkie koszta sądowe pokryto z głównej kasy krajowej, albowiem kasa miejska żadnych środków do pokrycia tychże kosztów sądowych nie posiada.“

W dalszym ciągu magistrat stawia pytanie:

„Jak ostatecznie należy postąpić z czarownicami, gdyż nadchodzi surowa zima: więzienia chłodne — a one nagie — bez odzieży?“

W końcu jeszcze jedno pytanie:

---

[1]) Listy Jana III Sobieskiego do Marysieńki.

„Jak ma postąpić z temi czarownicami, które należą do innego okręgu, albowiem jako tu podejrzane, zostały przyaresztowane i u nas też sądzone być mają?“

Na dniu 9 listopada tegoż roku 1667 magistrat przedstawia urzędowi krajowemu wachmistrza miasta, Grzegorza Billera do nagrody za uciążliwą pracę, przy przeprowadzaniu na miejsce stracenia skazanych na śmierć czarownic i dodaje: „ileż to on wycierpieć musiał!“

W końcu, w dniu 7 stycznia 1668 roku magistrat wysela ostatnią odezwę do stanów ziemskich, ażeby woźnych sądowych „za krwawą i w pocie czoła zasłużoną pracę, połączoną z narażeniem życia“ odpowiednio z kasy krajowej wynagrodzić i radzi stanom ziemskim, ażeby proces czarownic w ciągu zimy zasuspendować, gdyż pomimo, że nie były torturowane, leżą obłożnie chore i źle przyodziane, — muszą w więzieniu z powodu zimna wiele znosić i cierpieć, w skutek czego niejedna czarownica przed rozpoczęciem procesu umrzeć może.

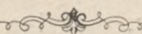
Nieszczęśliwe te istoty znosiły męki więzienne aż do przyszłego lata.

Miejsce, na którem przestępców wieszano, ścinano i palono znajdowało się od 200 — 300 kroków na wschód od kościoła Matki Bożej w pobliżu Raciborza, idąc od Opawy, a miejsce to zwane przez lud „zakażone“ było jeszcze w drugiej połowie zeszłego stulecia widoczne.

Był to placyk czworokątny — niewielki — zarosły chwastem i wysoką trawą trzcinową. Żadna ludzka noga na nim nie postała, a pastusi, pasący bydło w pobliżu, mieli sobie za zadanie pilnować, ażeby broń Boże w to miejsce „zakażone“ bydło się nie przedostało i trawy nie skubało.

Dziś miejsce to zorane i obsiane — śladu jednakże można się dopatrzeć, gdyż w tem miejscu na wypoczętej przez tyle wieków ziemi, wyrasta przepiękne bujne zboże.

(D. c. n.)



Wspomnienia z dziejów Polski.

Żółkiew i Cecora.

Są miejscowości, o których każdy dobry Polak, jako o drogich sercu wspominać powinien. Do takich należy i Żółkiew, kolebka i grób jednego z największych bohaterów polskich, hetmana Stanisława Żółkiewskiego. Miasteczko oddalone o kilka zaledwie mil od Lwowa, powstało przed trzystu laty i zabiegliwości jedynie Żółkiewskich zawdzięcza swój rozkwit późniejszy. W końcu września r. b. święciło ono rzadką i podniosłą uroczystość poświęcenia odnowionych grobów rodziny Żółkiewskich, a przedewszystkiem złożono w nowej trumnie i pochowano prochy wielkiego hetmana — Stanisława Żółkiewskiego, zwycięzcy w wielu wiekopomnych bitwach.

Na uroczystość tę w celu uczczenia pamięci bohatera, w dniu 29 września r. b. Żółkiew przybrała się odświętnie.

Dziesiątki tysięcy uczestników zaległo starożytny rynek przed kolegiatą, gdzie ustawiono trumnę z prochami hetmana. Arcybiskup Bilczewski, biskup Bandurski, marszałek krajowy Badeni, posłowie do parlamentu, znakomita poetka Konopnicka, oraz przedstawiciele wszystkich stanów, wszystkich instytucyi, oddali hołd pamięci bohatera z pod Kłyszynu i Cecory.

Nadesłane na uroczystość słowo Henryka Sienkiewicza dosłownie przytaczamy, jako jeden z najpiękniejszych charakterystyk wielkiego hetmana.

— Nie mogąc przybyć osobiście, przyłączam się całem sercem do tego wzniosłego obchodu, w którym ojczyzna nasza czci prochy swego Hetmana Bohatera. Żyzna ziemia nasza wydawała po wszystkie wieki i czasy ludzi, którzy imię Jej nieśmiertelną okrywali chwałą, ale raz jeden wydała takiego męża, jak Żółkiewski. Któż bowiem wyższy w dziejach od tego „Księcia Niezłomnego“, nietylko sławą, ale i miłością ojczyzny, nietylko zwycięstwy, ale i miłosierdziem nad zwyciężonymi, nietylko zasługą, ale i cnotą, nietylko głębią politycznego rozumu, ale i głęboką duszą, nietylko bohaterskiem

życiem, ale i męczeńską śmiercią? Lecz, nie mówiąc jedynie o Polsce, gdzież w świecie całym znajdziemy podobny ideał rycerza bez bojaźni i skazy, o sercu lwiem i zarazem tak nawskroś chrześcijańskiem? Jest on chlubą i chwałą naszą najwyższą, najczystszą



Hetman Stanisław Żółkiewski.

i w długich wiekach naszego żywota, najwznioślejszem wcieleniem polskiego Króla Ducha, w którym wielkość tak splata się z dobrocią, jakby te przymioty, często niestety w życiu rozdzielone, jedną i nierozerwalną siłę stanowiły. To też gdyby wiedzieć, która garść pro-

chu była sercem, należałoby w uroczystej narodowej procesyi zanieść ją na Wawel, gdzie leżą króle w koronach i króle w laurach. Tam miejsce dla tej piersi, z której w obronie Ojczyzny i Wiary wyciekła krew na Cecorskich polach, w dniu klęski. Lecz tymczasem niech spoczywają prochy tego bożego orła w rodzinnem gnieździe, otoczone czcią i miłością. Oto nowy dla niego grobowiec i nowy dzień chwały, a dla nas, dziś żyjących, jeszcze jeden dzień wielkich wspomnień, wielkiego żalu, głębokiej skruchy, ale i dzień nadziei. Zaiste, bowiem, myli się, kto mówi, że naród był takiego męża niegodzien. Był go godzien, skoro go wydał. Czemże bowiem jest ten hetman, ten rycerz i ten męczennik, jeśli nie symbolem dziejów naszych i najwyższym wyrazem tego, co było w nich najszlachetniejszem? Lata, następne lata rozterek, klęsk i duchowego upadku przygłuszyły w głębi jestestwa narodowego te ziarna, z których wzrastali Żółkiewscy, aleć pociechą i nadzieją jest myśl, że takie ziarna były złożone w dziejowej polskiej duszy i że leżą w niej jeszcze, a gdy nadejdzie dzień, który wyprowadzi nas znów na światło, to może odżyją, wzrosną i wydadzą plon błogosławiony. Na dwie prawdy rozdziela się ta otucha, która dziś wypełniła serca nasze. Pierwsza z nich jest ta, że nie może zginąć naród, który wydał z siebie takiego Wodza Bohatera — drugą, że naród, który takich swych wodzów czci, pamięta i kocha — ma w sobie zadatki i siły życia, z mocy których musi nastąpić odrodzenie.

Cześć wieczna świętym prochom!

Po odprawieniu egzekwii przez duchowieństwo, trumienkę zdjęto z katafalku, okryto szkarłatem i poniesiono do krypty w kolegiacie, gdzie złożono ją w sarkofagu marmurowym.

Miasto Żółkiew przechodziło różne koleje, dobre i złe; miało też chwile wielkiej świetności i chwały, za czasów króla Sobieskiego.

Po bohaterskiej śmierci wielkiego hetmana pod Cecorą, dziedzicem Żółkwi został zięć jego, Jan Daniłowicz, a w roku 1629, po śmierci Daniłowicza, zięć jego, Jakób Sobieski. W r, 1645 Jakób Sobieski, zostawszy kasztelanem krakowskim, tutaj 13 czerwca życie zakończył. Tatarzy, Kozacy, morowe powietrze i pożary zniszczyły straszliwie miasto w ciągu kilku lat.

Dnia 21 maja 1674 r. Jan Sobieski, królem polskim obrany, z wielką okazałością był w Żółkwi przyjmowany po powrocie z wyprawy na nieprzyjaciela. W r. 1675 powtórnie wpadli tu Turcy, a w r. 1676 Jan Sobieski, wróciwszy zwycięzcą z wyprawy tureckiej, przyjmował w Żółkwi order świętego Ducha, przysłany od Lu-

dwika XIV, króla francuskiego i powinszowania od Karola II, króla angielskiego. Dnia 20 lipca 1684 r. przyjechał tu król z królową i księciem Jakóbem, jako i wszystkimi senatorami, a zarazem poseł wenecki, wkrótce potem i nuncyusz papieski z bogatymi dla króla upominkami. Po śmierci króla zarządzał miastem najmłodszy syn jego, Konstanty.

Roku 1705 doznała Żółkiew wielkiego zniszczenia z powodu saskich, szwedzkich i kozackich przechodów i kontrybucyj, a jedno-



Pomnik hetmana Żółkiewskiego w Żółkwi.

cześnie i powietrza. W r. 1707 bawił tu Piotr Wielki. Córka ostatniego z Sobieskich, dziedziców Żółkwi, księżna Marya Karolina de Bouillon w r. 1740 wszystkie dobra swoje sprzedała księciu Michałowi Kazimierzowi Radziwiłłowi, a wkrótce potem i ona, ostatnia z domu Sobieskich zakończyła tu życie 1746 r. W r. roku 1762 Karol książę Radziwiłł, zwany „Panie Kochanku“, został dziedzicem miasta, które za niego wielce podupadło. Morowe powietrze 1770 r.

zabrało 7,000 ludzi. W r. 1772 miasto przeszło pod panowanie Austryi i w dwa lata potem zostało obwodowem.

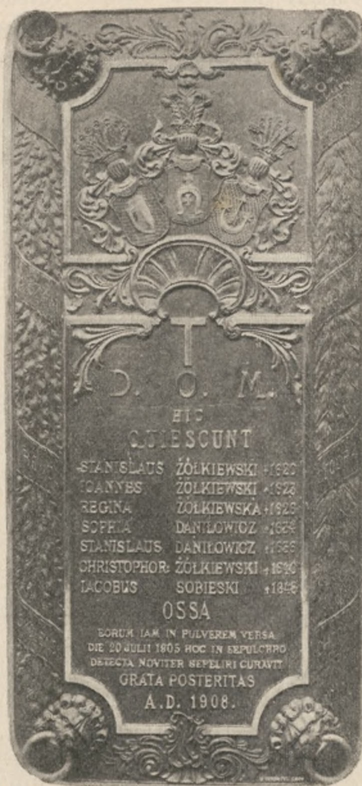
Główną ozdobą miasta jest kościół parafialny, założony w 1623 roku, przyozdobiony bogato przez Jana Sobieskiego, który wzniósł tu cztery piękne marmurowe pomniki dla rodziny Żółkiewskich, Stanisława Daniłowicza i Jakuba Sobieskiego, ojca królewskiego. Znajdują się także w tym kościele dwa wielkie obrazy: jeden przedstawiający bitwę pod Kłuszynem, drugi bitwę Chocimską, wykonany przez malarza królewskiego Kastlera. W kaplicach świętej Anny i Matki Boskiej mieszczą się obrazy bitw pod Wiedniem, Parkanami. Największą jednak ozdobą tej świątyni pod względem sztuki jest obraz Matki Boskiej, karmiącej Dzieciątko Jezus, pędzla Carlo Dolce. Zakrystya, niegdyś bogata, posiada jeszcze cały aparat czerwonego koloru z namiotu wielkiego wezyra, jedwabiem i srebrem przerabiany. Kościół ten z ciosowego kamienia, najpiękniejsza ozdoba rynku, ma postać krzyża. Teofila Sobieska po stracie ukochanego syna Marka, fundowała w roku 1653 kościół z klasztorem księży Dominikanów, pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny i świętego Marka, w którego kruchcie pochowano zwłoki tegoż Marka Sobieskiego. Tu spoczęła także i sama fundatorka, zmarła w r. 1661. Król Jan kazał tu w roku 1684 wystawić dwa nagrobki z czarnego marmuru dla matki i dla brata. Wystawiony w r. 1682 przez Jana III klasztor i kościół Dominikanek, zniesiono w roku 1785 i zamieniono na szpital wojskowy. Tutejsza bóżnica żydowska, wzniesiona za pozwoleniem Jana III, należy do okazalszych gmachów miasta. Jeszcze przed rokiem 1606 był w Żółkwi zamek, a przy nim zwierzyniec, a następnie 1613 — 1621, przy pomocy jeńców tatarskich, zaczęto miasto murem obwodzić.

W podziemiach miejscowej fary spoczywały dotychczas w zwykłej trumnie prochy tego wielkiego zaiste hetmana; jak podziemie, tak i trumna uległy zupełnej ruinie, trzeba było ochronić te drogie szczątki. Starosta żółkiewski, p. Juliusz Szumlański zajął się tą sprawą. Sprawiono dwa sarkofagi — jeden dla hetmana, drugi dla najbliższych członków jego rodziny: Jana, Krzysztofa i Reginy Żółkiewskich, Zofii i Stanisława Daniłowiczów i Jakóba Sobieskiego, ojca króla Jana III.

I dziś w odnowionej krypcie spoczęły kości bohatera i jego najbliższych, przykryte płytą bronzową, wykonaną podług projektu Antoniego Popiela, z herbami Żółkiewskich, Daniłowiczów i Sobieskich.

*
* *

Wśród wielu klęsk, jakie naród polski przeżył, śmierć hetmana Żółkiewskiego pod Cecorą była jedną z największych. W klęsce tej atoli okazał tyle bohaterskiego ducha wódz siwowłosy hufców polskich, że na wieczne czasy pozostanie w pamięci potomnych, jako rycerz nad rycerze, jako wzór cnót obywatelskich, wzór prawego Polaka. I nietylko z wrogiem zewnętrznym walczyć musiał



Nowe drzwi wchodowe, które zamykają wejście do krypty z prochami hetmana Żółkiewskiego.

pod Cecorą wielki hetman, lecz i z stokroć niebezpieczniejszym wrogiem, bo z wewnętrznym: z samowolą zuchwałą kilku swych podwładnych, którzy w chwili niebezpieczeństwa zapomnieli o najpierwszym obowiązku żołnierza — posłuszeństwie. I tak: niezgoda, szalona ambicya, występowanie na własną rękę w chwili groźnej spra-

wiły, że jeden z najlepszych synów Polski dał głowę pod miecz pogański. Może mógłby ją był ocalić, lecz nie chciał, gdyż byłoby to ocalenie hańbą dla sztandarów polskich.

A stało się to pod Cecorą, wsią, leżącą nad Prutem, w prowincyi Mołdawii, należącej do państwa rumuńskiego w dniu 19 września 1620 roku. Polacy chcieli utrzymać na tronie hospodarskim nieprzychylnego Turcyi wojewodę Gracyana i gdy w tym celu hetman polski Stanisław Żółkiewski na czele 8,400 ludzi wszedł do Mołdawii, Porta Ottomańska wyprawiła przeciwko niemu baszę Sylistryjskiego, Iskandera, z 10,000 Turków, pod dowództwem Kałgi. Wojsko turecko-tatarskie zgromadziło się pod Benderami (dawna Tehinia). Żółkiewski zaś, zebrawszy swoich żołnierzy w Barze i przebywszy 3-go września 1620 r. Dniestr u Pudbitego, wkroczył do Mołdawii. Pod Kojnarami złączył się z nim hospodar Gracyan, ale zamiast obiecanych kilkunastu tysięcy wojska, przyprowadził tylko 600 koni. Pomimo jednak szczupłości sił, wynoszących do 9,000 ludzi, szedł Żółkiewski dalej i, przybywszy dnia 13 września pod Cecorę, zajął tu stanowisko na drodze, prowadzącej z Bender do Jas, ażeby tę stolicę Mołdawii osłonić od nieprzyjaciela.

Pierwsze utarczki były dla Polaków pomyślne, a to żołnierzy zachęciło do walki, i gdy nareszcie Iskander spuścił się z gór i stanął przed nimi na dolinie, prosili hetmana, aby ich prowadził na nieprzyjaciela.

Wyszedł tedy Żółkiewski z obozu i stanął w szyku bojowym. Bitwę rozpoczął Iskander około południa. Pierwsze natarcia prowadzili sami Turcy ze środka, wspierani przez swego wodza coraz to nowemi posiłkami. Ataki ich jednak nie miały powodzenia. Polacy tak ich wzięli w obroty, że im groziła zupełna zagłada. Widząc to, Iskander posłał Tatarów, którzy zaczęli zabierać skrzydła i tył Polakom, zadaleko wysuniętym do obozu.

Zmieszani i rozstrojeni poprzednim bojem z Turkami, musieli się oni w tył obracać i siec się z Tatarami, ażeby przebić sobie drogę do obozu, i przedarli się nareszcie, ale z wielkiemi stratami, gdyż wielu odniosło śmierć lub rany. Z taborów prawy został otoczony przez nieprzyjaciela i znajdujący się w nim żołnierze w pień wycięci.

Przegrana ta bitwa sprawiła wielką trwogę w obozie polskim.

Cały dzień 20 września radzono nad tem, co czynić. Hetman był zdania, żeby nazajutrz wystąpić na nowo przeciwko nieprzyjacielowi i naprawić to, co się straciło. Ale wielu było takich, którzy, nie licząc na powodzenie walki wobec ogromnej przewagi liczebnej

nieprzyjaciela, mniemali, że nic nie pozostaje, jak uchodzić co najprędzej komunikiem drugą stroną Prutu, i ci właśnie, (a byli między nimi tacy żołnierze, jak: Kalinowski, książę Korecki, Odrzywolski, a nawet znany pogromca Tatarów, Stefan Chmielecki), gdy noc nastąpiła, rzucili się do Prutu i uchodzić poczęli. W obozie powstało wielkie zamieszanie, z którego skorzystali ciurowie obozowi, bo gdy pomiędzy panami trwała kłótnia, oni powyciągali ich kosztowności z namiotów.



Hetman Stanisław Żółkiewski pod Cecorą.

Długo w noc ciągnęła się wrzawa i ledwie że się dała uspokoić; ale w obozie z 8,400 zostało ledwie około 4,300 żołnierzy. Już teraz niepodobna było myśleć o dalszej walce. Spróbowano układów, a gdy i te się nie powiodły, postanowiono uchodzić taborem. Dnia 29 września na noc zrobiwszy otwór w okopach, ruszyło wojsko polskie w pochód.

Spostrzegłszy tabor, myśleli z początku Turcy, że Polacy występują do boju, ale gdy ci ruszyli stroną w górę rzeki, poczęło pogaństwo hałasować i strzelać, musieli jednak Turcy ustąpić z miejsca z namiotami, skąd się pokazuje, że otaczali obóz polski półkolem od brzegu do brzegu. Trwał ten pochód z taborem aż do 6 października, przez góry i doły i nawet przez małe rzeczki, jak Reut i Kubołka, w ciągłej trwodze i walce, skutkiem nieustannych napadów Turków i Tatarów, bez snu i o głodzie.

Wtem, gdy już byli o kilka wiorst od Mohylowa, a więc od portu zbawienia, wynikł niespodzianie alarm w obozie, z przyczyn dotąd niezupełnie wyjaśnionych.



Ostatnie chwile hetmana Żółkiewskiego pod Cecorą.

Woźnice, czyli ciury, obawiając się kary za rabunek, skorzystali z zamieszania i wyprzągłszy konie z wozów, pouciekali. Dalszy więc pochód mógł się odbywać już tylko bez taboru. Tymczasem Tatarzy, dostrzegłszy nieład, wpadli całą siłą i wielu pozabijali, innych zaś pobrali w niewolę. Do szeregu zabitych należał i hetman wielki koronny—Żółkiewski.

Ostatnie chwile Żółkiewskiego były tak, jak i życie całe tego wielkiego męża, godne bohaterów starożytnej Hellady. Gdy tłum

pogan, Turków i Tatarów, wdarł się do taboru, prawie wszyscy, czując blizkość granicy polskiej, rzucili się do ucieczki. Przy posiwiałym w boju wodzu pozostała tylko garstka walecznych. Niektórzy z nich podali hetmanowi rumaka, namawiając do ucieczki. Ale zwycięski wódz w tylu bitwach, wódz, który zawsze stawiał czoło niebezpieczeństwu, na wszelkie prośby odpowiadał:

— Nie wsiądę... miło mi za ojczyznę-matkę umierać... Niechaj Pan Bóg wyrok nade mną, który uczynił, ukończy!...

I niebawem siwy wódz wraz z garstką wiernych towarzyszy otoczony został przez tłumy wrogów. Hetman bronił się mężnie, ale gdy tłumy oskoczyły go dokoła, raniony w rękę i głowę, padł na polu walki.

Zginął spokojny, bo śmierci partrzył w oczy z czystem sumieniem i był na nią przygotowany. Więcej niż śmierć z ręki pogan, bolała go niezgoda i nieposłuszeństwo wśród swoich.

Gdyby wszyscy słuchali jego głosu i wszyscy, jak on, stawili czoło wrogowi na polu bitwy, pola cecorskie nie byłyby świadkami zguby, lecz tryumfu hufców polskich.

Dlatego też Cecora będzie po wszystkie czasy przestrogą dla nas, aby w sprawach publicznych słuchać głosu doświadczenia i nie myśleć tylko o sobie, o własnem ocaleniu, lecz o ogólnej korzyści, o spełnieniu obowiązku w imię ogólnego dobra i miłości kraju.

ZŁOTE MYŚLI.

Największa intrata — oszczędność.

Co jeden głupiec zepsuje, tego tysiąc mądrych nie naprawi.

Zła fortuna to ma przynajmniej dobrego, że rozumu nauczy, a przyjaciela pokaże.

A. M. Fredro.

Historya illustrowana Kościoła świętego
RZYMSKO-KATOLICKIEGO
w obrazach i życiorysach.

Święty Ludwik, król francuski.

Jedną z większych ozdób Kościoła w XIII wieku był Ludwik święty, syn króla francuskiego Ludwika VIII, Lwem zwanego i Blanki Kastylskiej, urodzony 1215 r. Wcześnie odumarł go ojciec, a matka małoletniego sierotę królem ogłosiwszy, ujęła w silne dłonie opiekę nad nim i ster rządów r. 1226.

Wśród zajęć rozlicznych i ciągłych ucierań się z dumnymi i nieposłusznymi książętami, wychowywała starannie syna, otaczając go oświeconymi i zacnymi nauczycielami i nieraz mu powtarzała, iż wolałaby stokroć, żeby padł martwy u jej stóp, niż żeby miał choć jeden grzech śmiertelny popełnić.

Bóg błogosławił jej staraniom i syn jej ukochany wyrósł na jednego z największych bohaterów i monarchów chrześcijańskich. W roku 1236 ogłoszony pełnoletnim, rozpoczął rządy swoje, zmuszając groźnych sąsiadów do szacunku przed samem jego imieniem.

Cesarz wschodni Balduin III, znajdując się w bardzo krytycznem położeniu zastawił u rządu rzeczypospolitej weneckiej cierniową koronę Zbawiciela i uwiadomił o tem Ludwika świętego, a zarazem przekazał mu swoje do niej prawa; pobożny monarcha wykupił ją natychmiast i z największą czcią do Francyi sprowadził roku 1239, a dostawszy oprócz niej z Carogrodu znaczy kawał świętego drzewa krzyża, lancę, która bok Zbawiciela przeszyła i gąbkę, na



Kompania z Chybic, dyecezyi sandomierskiej, u stóp Jasnej-Góry.

Fotografia „Dzwonka Częstochowskiego".

której Mu ocet z winem podawano, zamknął drogocenne te relikwie w kosztownych skrzyniach srebrnych, nabijanych drogiemi kamieniami i zbudował dla nich przybytek, Świętą Kaplicą zwany; tam noce całe przepędzał na modlitwie. Liczne ćwiczenia pobożne nigdy mu nie były zawadą w pełnieniu królewskich obowiązków, przeciwnie czerpał w nich światło i siły, a Francya po dziś dzień z wdzięcznością i dumą imię jego wspomina. Ślub, uczyniony w chorobie r. 1244, pobudził go do rozpoczęcia siódmej wojny krzyżowej r. 1248. Piękna i cnotliwa Małgorzata z Prowancyi, żona jego, towarzyszyła mu w tej wyprawie. Krucyata zapowiadała się pomyślnie. Ludwik święty zdobył w Egipcie handlowe miasto Damiettę, pobił na głowę muzułmanów pod Massurą, cudów waleczności dokonywał wszędzie. Wtem dżuma wkradła się w jego szeregi i dziesiątkować je zaczęła, król cofać się musiał, wreszcie wzięty w niewolę, drogi okup wrogom obiecał za wolność swoich towarzyszy.

— „Za siebie Damiettę wam wrócę“ — rzekł do nich,—„gdyż królewska osoba nie wykupuje się złotem, a za rycerzy moich wypłacę wam tyle, ileście za moją wolność żądali.“

Okropne chwile przechodziła tymczasem królowa Małgorzata, oblężona w Damiecie przez dzicz muzułmańską, wydała tam na świat syna Trystyana; przy łożu jej czuwał dniem i nocą ośmdziesięciokilkoletni rycerz, który na jej żądanie złożył był przysięgę, że w razie zdobycia miasta przez niewiernych zabije ją, nimby się w niewolę dostać mogła. Wypuszczony wreszcie na wolność Ludwik święty Damiettę oddał muzułmanom, a sam z Małgorzatą wyruszył do Ziemi Świętej. Tam zajął się wzmacnianiem twierdz chrześcijańskich; w mieście Jaffa doszła go wieść o śmierci ukochanej matki, której był rządy państwa na czas swej nieobecności powierzył. Ciężko strapiony powrócił do Francyi, gdzie gorliwie pracował nad usunięciem nadużyć i ścisłem wykonywaniu sprawiedliwości. Nadał ojczyźnie zbiór mądrych praw, zwany ustawami świętego Ludwika, usunął z prawodawstwa zwyczaj tak nazwany „Sądów Bożych“, w których publiczny pojedynek miał rozstrzygać o słuszności sprawy, a zwyciężony za winnego uznany bywał. Dotąd pokazują w Vincennes stary dąb, pod którego cieniem sprawiedliwy król sądy wydawał, a najmniejsi z ludu mieli przystęp do niego. Wzmocnił władzę królewską we Francyi, zawarł stały pokój z Anglią, założył i uposażył wiele szpitalów, klasztorów i innych pożytecznych zakładów, jak naprzykład słynny później teologiczny uniwersytet Sorboński w Paryżu.

Załatwiwszy mądrze wszystkie ważniejsze sprawy, przedsięwziął Ludwik święty ósmą i ostatnią krucyatę, lecz przedtem postanowił w kraju rejencyę, na której czele roztropnych i zasłużonych ludzi postawił. Wyruszył r. 1268 z trzema synami i Edwardem, księciem angielskim. Muhamed-Mustanzer, książę tunetański, czynił mu nadzieję, iż przyjmię wiarę chrześcijańską, lecz zaledwie okręta krzyżowe zawinęły pod Tunis, stolicę Mustanzera, książę ten wielką nienawiść przeciw chrześcijanom na każdym okazywać począł kroku. W czasie oblężenia miasta tego stracił Ludwik ukochanego syna na zaraźliwą biegunkę, która i jego o śmierć przyprawiła 25 sierpnia 1270 r. Przed zgonem dawał ostatnie upomnienia najstarszemu synowi Filipowi, poczem przyjąwszy ostatnie Sakramenta, kazał się położyć na popiele, i ręce ku niebu wznosząc, powtarzał w chwili konania słowa Psalmisty:

„Wnijdę, o, Panie, do domu Twojego, w świątyni Twojej chwalić Ciebie będę!“

Oblężenie Tunisu trwało jeszcze czas jakiś i zakończyło się korzystnym dla wiary chrześcijańskiej 11-letnim pokojem z Saracenami, zawartym przez Filipa III Śmiałego, syna i następcę świętego Ludwika na tronie francuskim. Edward angielski dotarł do Ziemi Świętej i kilkakrotnie tam poraził niewiernych, lecz śmierć ojca jego, króla Henryka III, powołała go do ojczyzny.

(D. c. n.)



ZŁOTE MYŚLI.

Miłosierdzie jest drugą purpurą królów.

Zygmunt Krasiński.

Spoglądasz na zegar, patrzaj i sumienia,
Tracąc twe godziny, nie traćże zbawienia.



Kompania z Chybic, dyecezyi sandomierskiej. W dniu 9 września r. b. przybyła na Jasną-Górę kompania z Chybic, dyecezyi sandomierskiej, pod przewodnictwem swego proboszcza ks. Grzegorza Stadnickiego. Jedni przyszli pieszo, drudzy, starzy i słabsi, przyjechali koleją. Jakżeż rzewną była chwila, kiedy te dwie części kompanii witały się i bratnią dłoń sobie podawały, a potem podążyły ze swym pasterzem ku Jasnej-Górze. Tu powitał kompanię piękną przemową O. Pius, Paulin, i przy dźwiękach orkiestry klasztornej wkroczyła do kościoła.

Uczestników tej pielgrzymki było 280, wśród których 90 osób obojga płci nie było jeszcze u Sakramentu Bierzmowania. Pragnęli oni przystąpić do tego Sakramentu, bo byli należycie przygotowani przez swego pasterza; lecz, niestety, zawiodły ich oczekiwania, gdyż Jego Ekscelencya ksiądz biskup Zdzitowiecki zmuszony okolicznościami już był wyjechał z Częstochowy do sąsiedniej parafii na wizytacyę kościoła.

W ciągu trzechdniowego pobytu na Jasnej-Górze wszyscy się wyspowiadali i do Stołu Pańskiego przystąpili. Tak pokrzepieni na duszy i pożegnani przez tegoż Ojca Piusa piękną nauką, udali się z powrotem do swoich rodzin, aby tam, w dalszym ciągu przy łasce Bożej pracować dla chwały Bożej i zbawienia własnego.

Kompania z Bedlna, dyecezyi warszawskiej. Cicho, skromnie, bez bogatych strojów i bez tak zwanej „parady“ przybyła na Jasną-Górę kompania z Bedlna pod przewodnictwem swego zacnego, ukochanego pasterza, księdza Michała Wiśniewskiego. Pomimo poważnego wieku, bo przeszło siedemdziesiątki, dobry pasterz całą drogę towa-

rzyszył pieszo swej gromadce, która wzorowem zachowaniem się tak w podróży, jak i podczas pobytu w Częstochowie dowiodła, że ma ducha chrześcijańskiej pobożności, pokory i posłuszeństwa. Przyjemnie nam też było słyszeć z ust Czcigodnego Pasterza pochwały dla swych parafian. Daj, Boże, aby ten duch miłości i jedności panował zawsze w tej parafii!

Klerycy padernborscy w Częstochowie. Ponieważ w Westfalii jest około 300 tysięcy Polaków, którzy potrzebują obsługi religijnej, przeto ksiądz biskup padernborski, jako dobry pasterz, dbający o dobro tych owieczek, poleca kapłanom swej dyecezyi, Niemcom, uczyć się języka polskiego, aby mogli spowiadać i nieść skuteczną pomoc religijną naszym rodakom. W tym roku przysłał ks. Biskup trzech kleryków z Leokonwiktu w Padernbornie do Częstochowy, którzy w ciągu paru miesięcy studyowali język polski na Jasnej-Górze. Byli to: ks. Wilhelm Arnoldi, Karol Prior i Gerhard Stakemeier.

Pobożni i pełni zapału do pracy apostolskiej, z wielkiem uznaniem mówili o cnotach i gorliwości Polaków, zamieszkałych w Westfalii, i przyrzekali otoczyć ich ojcowską opieką. Szczęść Im, Boże, w tej pracy!



ZŁOTE MYŚLI.

Ten tylko, kto wierzy i ufa Bogu, kto miłuje bliźnich, zwycięży, ten tylko otrzyma najwyższą nagrodę, jaką człowiek otrzymać może, zbawienie duszy.



Klerycy paderborscy na Jasnej-Górze w Częstochowie.



Z parafii Poczesna, dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej. Szanowny ks. proboszcz parafii Poczesna zwraca się za pośrednictwem „Dzwonka Częstochowskiego“ i innych pism do zacnych ludzi z prośbą o pomoc materyalną dla wzniesienia kościoła we wsi Starcza, należącej do tej parafii. Powody ku temu są bardzo ważne i naglące. Wieś Starcza jest opanowaną przez mankietników, których przywódca, były ksiądz Skrzypiciel wybudował tu kaplicę dla nich, a nasz biedny lud katolicki nie ma wcale kościoła. Do parafialnego ma 2 mile uciążliwej drogi. W tak smutnych okolicznościach dziczeje i ulega wpływom heretyckim. Komu więc wiara święta i dobro biednego ludu leży na sercu, ten zrozumie potrzebę szybkiego zaradzenia złemu. Fundamenty i cokół przyszłej świątyni katolickiej już są wymurowane, niema funduszu na dalszą robotę. Ofiary można przesyłać pod adresem: Ksiądz Jan Knorr, proboszcz parafii Poczesna, st. p. Poraj dr. żel. War.-Wied. — lub do naszej redakcyi.

Towarzystwo Ogrodnicze Warszawskie (ul. Bagatela № 3) utworzyło posadę ogrodnika objazdowego dla włościan, mając na celu za pomocą odczytów, pogadanek, pokazów i porad nieść oświatę i pomoc w kierunku rozwoju u nas ogrodnictwa. Pan Witalis Urbanowicz, który objął to stanowisko, podaje warunki, na jakich może służyć swoją wiedzą i doświadczeniem naszemu ogółowi. I tak — Za odczyty: Zwrot kosztów przejazdu III klasą dr. żel., łącznie z furmanką i utrzymaniem w drodze, jak również i na miejscu w gotówce lub naturze, po nadto po 3 ruble za każdy odczyt. Za pomoc ogrodniczą, (objazdy), zwrot kosztów jak wyżej, po nadto po rubli 2

za każdy dzień zużyty na miejscu; pół doby liczy się za całą. Porady ogrodnicze, ustne bezpłatnie, za listowną odpowiedź pobiera się 30 kopiejek i 14 kopiejek za marki pocztowe.

Wycieczka włościan do Pragi. (c. d.) Nazajutrz już o godz. 6-ej rano byliśmy na nogach. Po śniadaniu w miejscowej restauracyi wyruszamy zwiedzać osobliwości miasta. Po zwiedzeniu kościoła świętego Jakóba stajemy przed bramą „Radnicy“ (Ratusza). Na wieży, którą obecnie restaurują, umieszczony jest zegar starożytny z XIII wieku o dwóch (cyferblatach) tarczach; na wyższej widać godziny, niższa zaś tarcza pokazuje obroty ziemi około słońca, obroty księżyca, wszystkie znaki kalendarskie, — wreszcie daty dni miesięcy, lat i wykaz na każdy dzień świętego. Przed wydzwanianiem każdej godziny ukazuje się 12 apostołów i różne symboliczne figury; śmierć wydzwania godziny, sknera z workiem w ręku, zwraca się do niej, prosząc, by nie wydzwaniała jeszcze ostatniej godziny; — wreszcie rozlega się pianie koguta, umieszczonego wyżej i dopiero dzwon wieżowy potężnym głosem oznajmia miastu kolejną godzinę. Stąd idziemy na „Karlów most“; przed mostem na placu, przed starej budowy kościołem, stoi pomnik granitowy Karola IV, zwanego Ojcem Ojczyzny, gdyż on przyczynił się do świetności Czech, a w szczególności stolicy, upiększył ją różnemi budowlami. Wstępując na most, przechodzimy przez Staromiejską bramę, zbudowaną w XIV stuleciu. Most cały zbudowany jest z granitu i ozdobiony 30-ma posągami granitowemi różnych świętych patronów; po środku Chrystus na krzyżu, obok posąg Jana Nepomucena (stąd był utopiony), ozdobiony lampami kolorowemi. Most kończy się na „Male strane“ 2-ma mostowemi wieżami (XIII i XIV wiek). Podążamy do Zamku Królewskiego na „Hradczany“. Jest to dzielnica zbudowana na wysokiej górze. Zwraca naszą uwagę najpierw starożytny kościół świętego Mikołaja z potężną kopułą, budowany w 1673 roku. Sam Zamek, założony według podania przez Libuszę i dobudowywany przez Karola IV, Władysława II, Ferdynanda I, Rudolfa II i dokończony zaledwie w roku 1758. Zamek składa się z trzech oddzielnych podwórz. W pierwszem stoi pałac księcia Toskańskiego i Szwarzenbergów, a w trzeciem wspaniała katedra pod wezwaniem świętego Wita, założona przez Karola IV. Wewnątrz olbrzymiego kościoła jest kaplica świętego Wacława, wyłożona wewnątrz czeskiemi kamieniami (szkłem). Pokazują nam drzwi, prowadzące do tej to kaplicy — żelazne, z kółkiem w pośrodku, gdzie święty Wacław, padając śmiertelnym ciosem ugodzony przez brata swego, chwycił się rę-

ką za to kółko, by nie runąć na posadzkę. Dalej oglądamy — grób królewski — ołtarz cały srebrny, na którym w trumnie srebrnej, podtrzymywanej przez aniołów, umieszczone są zwłoki świętego Jana Nepomucena.

Przed katedrą na prawo stoi posąg z bronzu świętego Jerzego, wielkiej wartości artystycznej z 1373 r.

Przechodzimy do najstarszej części Hradczan, zwanej Władysławowską (gdyż budował to nasz Władysław Jagiellończyk); oglądamy salę, tak zwaną „zemską", gdzie odbywano sądy. Stąd w roku 1618 wyrzucono radców niemieckich przez okno. Oglądamy sale cesarskie, gdzie i obecnie panujący bywają podejmowani; sala balowa, jedna z większych w Europie, ma 100 metrów długości, a 50 szerokości.

Za katedrą pokazują nam szereg malutkich mieszkań, które swego czasu zajmowali alchemicy nadworni królewscy; tamże starożytne podziemia, gdzie skazywano na głodową śmierć. Wracając z Hradczan, rzucamy okiem w stronę zachodnią i widzimy na górze, porosłej drzewami, wieżę, zbudowaną całą z żelaza. (Kopia wieży Ejfel w Paryżu), tak zwana „Rozhledna", która stoi na wysokiej górze i ma wysokości 350 metrów. Dzielnica ta nazywa się Petrzyn. Z Hradczan wracamy tą samą drogą przez most Karola — przechodzimy przez miasto w stronę południową na ul. „Vaclavskie Namiestie" do Muzeum Królestwa Czeskiego. Pałac pysznie zbudowany z groszowych składek. Ileż tam zbiorów!... Oglądamy bardzo stare książki czeskie, z których odrodził się język czeski. Przez całe wieki te skarby były ukrywane przed Niemcami. Są tu wszystkie minerały, jakie w ziemiach czeskich znajdują się; to znów stroje narodowe od lat bardzo dawnych i t. p. To też proszę zobaczyć i posłuchać, jak Czesi się szczycą swoją pracą, mówiąc: „Podiviajtie!—my to zbudowali dla siebie". Tak samo mówią, pokazując wspaniały gmach nad rzeką Veltawą „Narodne Divadlo", teatr narodowy, który także ze składek dobrowolnych narodowych został zbudowany. Towarzyszy nam i ułatwia wszystko ogólnie szanowana p. Sławińska, b. artystka teatru czeskiego, dziś nieżyjąca, wypadkowo zabita od koni na wystawie Pragskiej.

Po zwiedzeniu Muzeum zostaliśmy zaproszeni do największego sklepu w Pradze, pod firmą „Dom obchodni Nowaka". Kamienica duża 5-cio piętrowa, zajęta cała na sklep, mieszczący w sobie wszystko, czego tylko człowiek potrzebować może do życia codziennego, do pracy i do zbytku. Po zwiedzeniu tego gmachu zostaliśmy uprzej-

mie zaproszeni przez zarządzającego do bufetu, mieszczącego się tamże na podwieczorek.

Ze sklepu p. Nowakowej (wdowa) jesteśmy zaproszeni przez naszą rodaczkę, panią Śmiszkową (Antoszkę), do niej na imieniny, gdyż był to dzień świętego Antoniego. A szliśmy tem chętniej, by jej i podziękować za trudy poniesione dla nas i złożyć osobiście życzenia długich lat i sił do pracy na polu literackiem.

Dzień Świętej Trójcy jest dniem odjazdu naszego z Pragi. Postanowiono z rana zwiedzić najstarszą dzielnicę miasta, jakby serce starej Pragi „Vyszehrad“. Wyszedłszy po stromych schodach na dosyć wysoką górę, stajemy na placu przed kościołem, zbudowanym w stylu czysto gotyckim pod wezwaniem świętych Cyryla i Metodego. Wszedłszy na pacierz i zwiedziwszy kościół, kierujemy się do obok położonego cmentarza wyszehradzkiego, dla ludzi zasłużonych, którzy na spoczynek wieczny zasłużyli dobrymi, szachetnymi czynami. Pomiędzy innymi spoczywa tu ś. p. Jelinek, wielki przyjaciel Polaków, na którego grobie widnieje duży piękny wieniec z napisem „od Polaków“.

Wyjeżdżamy z Pragi o godzinie 1-ej po południu, udając się do Kolina, skąd udamy się na wsie dla zwiedzenia gospodarstwa rolnego, co bardzo nas interesuje i zaciekawia.

Józef Kossowski.

Ś. p. O. Stanisław Załęski. Świat katolicki poniósł stratę przez śmierć ś. p. księdza Stanisława Załęskiego, zakonnika Towarzystwa Jezusowego, jedną z najdzielniejszych postaci — a Polska dobrego syna, obywatela. Urodzony w Krakowie dnia 11 września 1843 r., wcześnie osierociał. Po śmierci jego ojca, Karola, zajęła się wychowaniem matka Teofila z Rudkowskich Prus Załęska, bardzo rozumna, szczerze pobożna i z wyższym polotem umysłu niewiasta. W atmosferze ubożuchnej materyalnie, lecz bogatej w cnoty staropolskiej karności i bojaźni Bożej wzrastał Stanisław na pracowitego i pobożnego młodzieniaszka.

Żądza wiedzy zbliżyła go do OO. Jezuitów białoruskich, którzy byli profesorami w nowosądeckiem gimnazyum: urok ich cnót i cierpień przebytych przyciągająco działał na jego umysł bystry i skłonił do oddania się na służbę Bożą w ich zakonie.

Pierwsze swe kroki w życiu zakonnem stawiał pod światłym kierunkiem O. Krupskiego, białoruskiego Jezuity, który był mistrzem nowicyatu. Rok 1863 rozbudził w kleryku Stanisławie drzemiące uczucie miłości ojczyzny, ale śluby zakonne, które już był wykonał



Kompania z Bedlna, dyecezyi warszawskiej, u stóp Jasnej-Góry.

Fotografia „Dzwonka Częstochowskiego“.

wstrzymały go od pójścia w ślady tylu młodzieży, którzy zginęli dla ojczyzny w nierównej walce. Dało mu to jednak pochop do uczenia się dziejów ojczystych, których wówczas nie uczono go w szkole.

Z rozmaitych dzieł, jakie znalazł w bibliotece domowej, ułożył sobie już wówczas *Historyę polską*. Rękopis ten przechowywał, jako drogie wspomnienia lat młodych, przez resztę życia. Drugi podobny rękopis pod tytułem: *Rzeczpospolita polska, jej urządzenia wewnętrzne i t. d.* przez siebie ułożony chował także starannie. Odtąd też datuje się jego zamiłowanie do literatury historycznej. Od roku 1864 uczył w konwikcie w Tarnopolu historyi literatury polskiej przez lat sześć przy wielkiem zainteresowaniu się tym przedmiotem młodzieży szkolnej.

Podczas przygotowywania się do wykładów tarnopolskich, studyował różne dzieła, których owocem była rozprawa stuarkuszowa, pod tytułem: *Przyczyny upadku Polski*, której nigdy nie ogłosił drukiem, a następnie drugie dzieło: *Czy Jezuici zgubili Polskę?* Dzieło to nabrało dużego rozgłosu i rozeszlo się w trzech wydaniach. Książka ta w znacznej części usunęła uprzedzenia przeciw Jezuitom, zwłaszcza u kleru świeckiego i inteligencyi, a autorowi niejako otworzyła pole szerokie do jego kapłańskiej publicznej działalności.

Lata od 1871 do 1874 przepędzone we Lwowie nazywał najpiękniejszemi w swem życiu. Młody, przyjemny, wymowny, prawił kazania, słuchał spowiedzi, a równocześnie pracował w „Przeglądzie lwowskim“, jako recenzent dzieł nowych i pisał dwutomowe dzieło: *Zniesienie zakonu Jezuitów w Polsce i ich zachowanie na Białej Rusi.*

Z górą 30 lat zbierał materyały do dzieła pod tytułem: *Jezuici w Polsce* i dopiero w roku 1906 wydał tom piąty i ostatni.

W ciągu tego czasu napisał kilkadziesiąt dzieł i broszur różnej treści. Zasilał nadto swem piórem *Encyklopedyę Kościelną* ks biskupa Nowodworskiego, *Wiadomości Kościelne*, *Czas*, *Gazetę Narodową*, był prawie współredaktorem dwutygodnika *Przegląd lwowski*, a także współzałożycielem *Misyi Katolickich i Przeglądu powszechnego.* I „Dzwonek Częstochowski“ darzył swą sympatyą, przysyłając doń artykuły treści historycznej, a nawet na kilka dni przed śmiercią przysłał początek artykułu o nawróceniu królów polskich Sasów do wiary katolickiej, ale jakby przeczuwając blizki zgon, zwątpił w serdecznym liście, czy będzie mógł dokończyć tej pracy.

Jeśli ostatnich lat kilkadziesiąt zaznaczyło się wśród naszego społeczeństwa, a zwłaszcza wśród kół inteligencyi wzrostem ducha,

wiary i świadomości życia katolickiego, nie omylimy się, twierdząc, że lwią część zasług w tym względzie położył O. Stanisław Załęski.

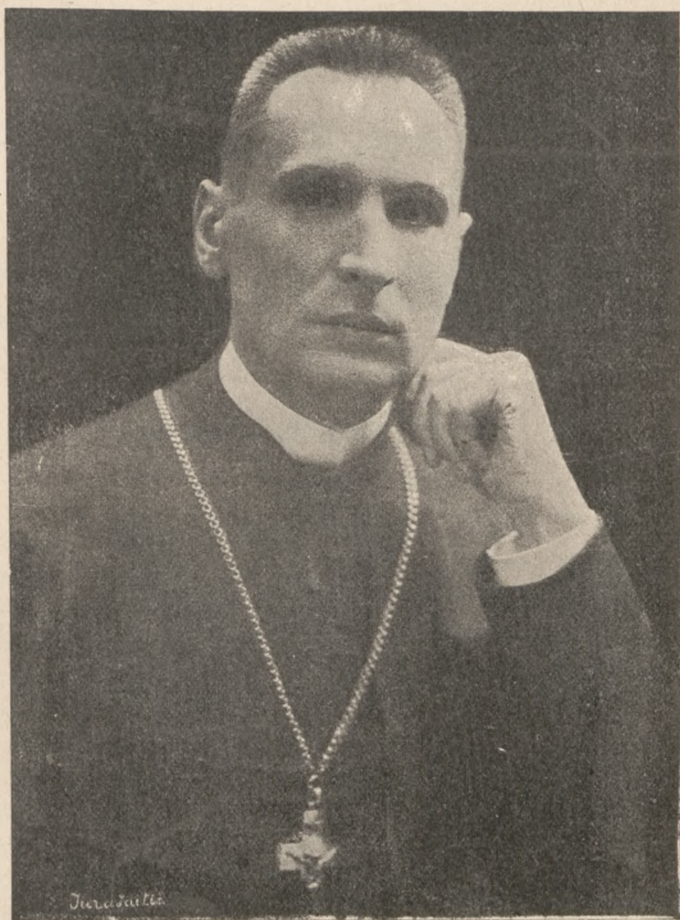
Oprócz inteligencyi i nauki, którą posiadał w wyższym stopniu, największym przymiotem jego duszy było miłosierdzie dla biednych i w ogóle potrzebujących pomocy. Ta miłość bliźniego, charakterystyczna cecha ś. p. O. Załęskiego, budziła bezgraniczną ufność do jego osoby tych, którzy i rady roztropnej potrzebowali i chcieli znaleźć ulgę w przygniatającym sumienie ciężarze.

Pomimo bezustannej, wytężonej pracy, pomimo krzyżów, jakie go niejednokrotnie spotykały, nie tracił nic ze swej pogody umysłu, staropolskiej fantazyi. Charakteru prawego, otwartego, kapłan złotego serca przeciwnikom przebaczał, żalu nie czuł do nikogo. Zawsze tylko dobrze czynił.

Z Afryki. Koniec handlu niewolnikami. Dzienniki paryskie otrzymały z pola walk w Kongo francuskiem telegram, który donosi, że oddział francuski, w sile 600 żołnierzy, pobił na głowę plemię Uadajów, które straciło tysiąc w poległych. Kraj Uadajów stanowił ostatnie schronisko handlu niewolnikami. Jest więc nadzieja, że dzięki wpływom europejskim, wstrętny handel zniknie ostatecznie z powierzchni ziemi.

Jednym z najistotniejszych ciosów, zadanych niewolnictwu w Afryce, była zawarta w roku 1895 między Anglią a Egiptem umowa przeciwko porywaniu ludzi. Mimo to jednak w Afryce środkowej istnieli po dawnemu niewolnicy, a handel nimi kwitnął i rozwijał się w najlepsze. Nie pomogły nawet drakońskie przepisy niemieckie, nakładające okrutne kary za pozbawienie wolności i handel ludźmi. Pewną poprawę do opłakanych stosunków tych wniosły uchwały konferencyi brukselskiej w sprawie niewolnictwa w Afryce, zwołanej przez króla belgijskiego, Leopolda. Lecz i po konferencyi tej potrafili handlarze niewolnikami znaleźć terytorya, na których mogli bezkarnie prowadzić dalej wstrętny handel. Wsie całe ulegały po dawnemu napadom nocnym, w czasie których starców i niemowlęta bezlitośnie wymordowywano, kobiety zaś, mężczyzn i dzieci sprzedawano za pośrednictwem kupców arabskich dzikim szczepom wewnątrz kraju.

Policya międzynarodowa przedsiębrała coraz surowsze środki przeciwko owym polowaniom na ludzi, a obecnie nadchodzi wieść, że zniesiono ostatni przytułek tych handlarzy. Rząd Kongo zasłużył się przez to poważnie wobec ludzkości.



Ksiądz K. Michalkiewicz, Administrator dyecezyi Wileńskiej.

Wikaryusz apostolski, były dziekan miński; objął rządy osieroconej po ks. biskupie Roppie dyecezyi ku ogólnej radości wiernych, którzy z modlitwą dziękczynną na ustach powitali swego nowego pasterza.

Bolesław Biernacki.

KOŚCIUSZKO.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

Milczał czas niejaki mistrz, lecz znów począł:

— Z miny ci patrzy, żeś nie bogaty, klejnoty bowiem a złoto przyjaciół szczerych, druhów wiernych ściągają, dlatego też bogacz a świnia po śmierci zwierzyna. Nie frasuj się jednak i bogacz tylko dwie ma w nosie dziurki, jak ubogi. Skrócajmy sobie czas, jako możemy, bo w lochu i dżdżysto i zimno. Masz flaszkę, pociągnij gorzałki.

Jaśko znów odtrącił napitek, mistrz zaś pociągnął parę mocnych łyków i rzekł:

— Dobry trunek na frasunek.

— Na zdrowie! — bąknął Jaśko.

— Jakie pomagaj Bóg, takie Bóg zapłać! — niechętnie odparł mistrz...

Nie mógł jednak długo siedzieć spokojnie — cisza mierziła go, tedy niedługo nawiązał gawędę:

— Masz wiedzieć, mój synku, że bogactwo jedzie sobie na wozie wysokim, córka zaś jego, pycha, siedzi na przodku z bystrem okiem, fortel woźnica, chytrość i drapiestwo konie, a lichwa zaś, pani stara, workami ma brzuch opasany...

Tak gawędził mistrz, trzy po trzy, ku utrapieniu Jaśka. Nadeszła wreszcie chwila upragniona dla Jaśka: zbrojne pachołki marszałkowskie wprowadziły księdza spowiednika. Mistrz musiał ustą-

pić kapłanowi miejsca. Skruszony Jaśko uklęknął u stóp osiwiałego kapłana-zakonnika i począł wyznawać grzechy swojego żywota. Spowiedź ciągnęła się długo, gdyż zakonnik świętobliwy miękkim, z serca płynącym głosem, otulał pociechą zbolałą duszę Jaśka Przygody, który rozrzewnił się, jako dziecko do łez. I kapłan miał łzy w oczach, kiedy nieszczęsnemu młodzieńcowi dawał rozgrzeszenie i błogosławił na pozagrobową wędrówkę.

— Nie odchodźcie jeszcze, ojcze duchowny, nie zostawiajcie mnie! — prosił Jaśko.

— Ani myślę, dziecko moje, odchodzić. Modlić się będziemy do świtu.

— A potem pójdziecie wraz ze mną aż tam! — złamanym głosem pytał Jaśko. Powiedzcie Zośce, że widziałem ją dzisiaj w marzeniu w białej ślubnej, śnieżnej szacie. Zakażcie jej od siebie łez wiele wylewać po mnie. Szkoda jej krasy i młodości szkoda. Podziękujcie też, jeśli łaska, i Michałowi Zagrodzie; człek ten przez miłość dziewki ukochanej mnie przytulił. Niech nie pomstuje, bo we mnie tyle zbójnika, ile we łzie próchna, albo w kwileniu szarej ptaszyny zawiści. Powiedzcie im, że na śmierć szedłem bez trwogi, lubo rozumiałem dobrze, iż losy zgotowały mnie okrutną krzywdę... Nie przewiniłem aż tak wiele, żeby w sromocie na rynku ginąć z rąk kata. Roiłem inaczej! Tak, czy owak, od tamtej, czy tej ściany wojna idzie. Rzeczpospolitej każde ramię będzie potrzebne... Szkoda mej krwi tak marnie przelanej. Jeno ta myśl w sumienie mi się wgryza, jako robak, włosy na głowie podnosi, poty na ciało wybija, a z piersi jęk i żal tak bezmierny się rozlega, że nie wiem, najświętszy ojcze, czy z tego żalu serce mi pierwej nie pęknie, zanim miecz katowski szyi mej dotknie.

Jaśko wciąż klęczał, a głos jego szumiał tak żałośnie, jak szumi wiatr jesienny na opuszczonych, zapadłych, zielskiem porosłych mogiłach.

— Ufaj, dziecko kochane, Bogu! — słodkim głosem pocieszał go kapłan. Bez wiedzy oraz zezwoleństwa Przedwiecznego włos z głowy nikomu nie spadnie. Nie plamią sumienia twego szpetne występki, owszem jaśnieje ono szlachetnym zapałem, piękną myślą przewodnią życia, więc pamiętaj na sprawiedliwość Pana nad pany, który wszystko widzi i najmniejsze nawet źdźbło dobrego uczynku na ważki rzuca, ażeby już pogrążonego wydobyć z topieli, a osądzonego, jako niewinnego oczyścić.

Świtaniem wyprowadziły straże skazanego na jaśnię. Dzień zapowiadał się chmurny, mgły szare, wilgotne, zimne w powietrzu

wisiały. Na podworzu otoczyła Jaśka, jakby łańcuchem żelaznym, milicya marszałkowska, którym przodkował oficer Malinowski, ten sam, co w trop poszedł za Jaśkiem na Wołyń i tam w lasach ująć go zdołał. Wejrzenia Jaśka i Malinowskiego zetknęły się: oficer drgnął, po chwili jednak podniósł górnie głowę, a w oczach miał błyski nienawiści oraz pychy, Jaśkowi zaś zdawało się, że żmiję nadeptał, która go zjadliwem żądłem ukąsiła.

— Bądź mężny, dziecko kochane! — pospieszył doń z ramieniem kapłan. Wesprzyj się! Bóg nad nami!

— Umocniliście mnie, ojcze duchowny, modlitwą waszą i z nią, jeżeli taka wola Boga, bez trwogi do grobu wstąpię.

— Ufaj, ufaj, dziecko kochane! Niezbadane są wyroki Najwyższego.

Za wrotami w ulicy stał tłum ludu skupiony. Wszystkich oczy żądliwie wejrzały na skazańca. Jaśko opuścił głowę lubo serce tłukło mu się w piersi, a myśl jedna, górująca po nad innemi myśl wierciła mu mózg.

— Kędy ją zobaczę? — gdzie stoi? a może nie przyszła... przepomniała?

W ulicy Nowomiejskiej, na rynku Starego miasta i przyległych ulicach stał tłum ramię przy ramieniu, głowa przy głowie. Obok wyrostków cisnęli się pochyleni wiekiem starcy i mężowie, pełni sił i zdrowia, z za których ramion podnosiły ciekawe głowy niewiasty. Przez tę ciżbę pożądliwych wzroków zwolna sunął orszak zbrojnych żołnierzów, a w kole ich kroczył Jaśko Przygoda. Podniósł głowę do góry — w rozwartych oknach, na dachach, a nawet na kominach, wszędy stali ludzie i ścigali go wzrokiem. Na widok dorodnego młodzieńca z piersi czułych niewiast wydobył się okrzyk współczucia, który jako obręczna fala, zataczał co raz to szersze koło, aż wreszcie obił się o najtwardsze serca. Spostrzegł to oficer Malinowski i padła na duszę jego trwoga: a nuż tłum uniesion litością, waży się na czyn gwałtowny i spróbuje odbić skazańca! Więc dał rozkaz przyśpieszenia kroku, aby jak najprędzej stanąć na miejscu kaźni. Tłumy rosły tak, że gdyby kto jabłko rzucił, potoczyłoby się po głowach, hen! aż do rzeki Wisły.

— Patrzcie, jaki młody...

— A krasa młodzieńcza kształtem łuny od niego bije.

— Idzie z fantazyą wielką, jakoby dziewkę zapraszał w tany.

— Chudziaku! — trzęsła głową osiwiała niewiasta, gdyby nadobna Marychna moja żyła, rzuciłabym ci ją pod nogi, pradziadów obyczajem; miast miecza kata znalazłbyś łożnicę bieluchną i żonkę

młodziuchną. Ale nieboga moja w grobie na cmentarzu Panny Maryi spoczywa. Wszystko, co młode umiera, starcy a staruchy zostają, ażeby wiośnie świeżej oczy zamykać — szeptała bezzębnemi usty białogłowa i łykała ostatnie łzy, które płynęły po jej pomarszczonej, jako ziemia, twarzy.

Uśmiechy są siejbą błogiego szczęścia, łzy — łez. Za przykładem starowiny, inne niewiasty poczęły ronić śluzy, tak, że we wszystkich oczach świecić poczęły wielkie krople rosy, jako na kwiatach polnych, kiedy po nich strugi dżdżu spłyną. Wzruszone piersi podnosiły się i opadały, tu i owdzie wyrywało się szlochanie. Po zahartowanem, twardem ciele mężów dreszcze jakby mrówki, poczęły chodzić. W oczach ukazały się ognie, namarszczyły czoła, twarze nabiegły krwią, pięści zaciskały. A Jaśko szedł pogodny, wstąpił na rusztowanie lekko i jasnem, jako one promienie wschodzącego słońca, okiem spojrzał z podniesienia na tysiączne tłumy zgromadzone niżej dookoła. Odetchnął. Otworzył szerzej źrenice. Stał, jakoby w zachwyceniu, w jeden punkt wpatrzony. Tuż za łańcuchem milicyi wedle oficera Malinowskiego skupiła się gromadka barczystych mężów, których Jaśko łacno poznał z ubioru i twarzy. Był to Michał Zagroda, Władek Skoczylas, Narcyz Pukawka, Łyczek, Julek Królewski oraz inni przyjaciele życzliwi. Bliżej zaś jeszcze, szeroko rozstawił ramiona radny starej Warszawy Imć pan Jan Kiliński, cechmistrz szewiecki z Dunaju, a do niego tuliła się, jako gołąbek bieluchna, ukochana Zośka. Marsową twarz Jana Kilińskiego oświecał dziwnie ciepły uśmiech.

— Zuch chłopak całą gębą! — szepnął Zośce w ucho cechmistrz. Co zuch, to zuch, hardzie patrzy śmierci w ślepie, jako bohater.

Jaśko zapatrzony w Zośkę i Kilińskiego nie słyszał słów dekretu. Już pomocnicy mistrza poczęli ściągać wierzchnie szatki, a on wciąż patrzył w jedną stronę. Mistrz sprawiedliwości położył na ramieniu skazanego rękę, a ten jeszcze patrzył, jakoby czarami jakowemyś owiany. Wtem krzyk, gwałt, jakby wichura zerwała się nagle, ogarnął go od tłumu. Przy sobie tuż zobaczył Zośkę, która nakryła go białym welonem... Dziewka stała w bieli, jako do ślubu strojnie przybrana. Świat począł się przed Jaśkiem kołować. Zatracił świadomość. Nie wiedział, czy to sen, czy na jawie, czy też już po wszystkiemu, po śmierci ogląda i cieszy się ukochaną Zośką...

— Co to jest! co się stało! Boże, Boże... — szeptał.

Tymczasem Jan Kiliński potężnym głosem przemawiał do zgromadzonego ludu:

— Obywatele! Dziewka oto ta, która przed wami w bieli, jako jasna lilija stoi, a której cnota i dziewiczość jest tak śnieżna i niepokalana, jak ten rąbek, który trzyma w dłoniach, daje pardon młodzieńcowi... Wianek swój kładzie na skronie skazańca... Wedle wiklerzów prastarych grodu tego mazowieckiego, kiedy dziewica wobec wszech ludzi, na placu kaźni cnotą swoją oczyszcza zbójnika, takowy zbójnik na gardło skazany, dekretem sprawiedliwości wolny wraca z placu kaźni wraz z dziewką, która mu pardon dała.

Odsapnął Kiliński. Lud wyrzucił czapki w górę i radosnym głosem wiwatować począł:

— Niech żyje Jaśko Przygoda! Wiwat Jan Kiliński!

Na nic się zdały protesty oficera i instygatora, uniesiony zapałem lud, przerwał łańcuch milicyi marszałkowskiej i na rękach poniósł Zośkę i Jaśka do domu Michała Zagrody. Radośnie wszystkim grały serca w piersi, jeden tylko mistrz sprawiedliwości chmurny był i dąsał się srodze.

— Jakże! Udał mi się ten chłopak, więc ślubowałem sobie, że zetnę go uczciwie, jak przykazano — raz, dwa! Tymczasem niecnota wymknął mi się z rąk, jak węgorz; za moją gorzałkę, i inne starania niewdzięcznością starego mistrza napoił. Obiecałem niewidomej, biednej, nieszczęśliwej mej dziewce za zarobione talarki kupić korale czerwone, figę, nie zaś koraliki dostanie. Oj! na nice obrócił się świat. I najpewniejszy wróbel w ręku, nie jest wróbel. Wszystko znikczemniało. Źle się dzieje, źle!

Tak użalał się mistrz sprawiedliwości starej Warszawy. Tymczasem Michał Zagroda wytoczyć kazał ze sklepów wino, miód, piwo, gorzałkę, jadłem zimnem zastawił stoły. Kto chciał przychodził — jadł, pił i wznosił zdrowie Jaśka Przygody oraz Zośki.

Widząc tyle ludzi zgromadzonych pod jednym dachem, w jednym zacnym uścisku, Władek Skoczylas chętnie przepijał kolejki, aż wreszcie do żywego poruszony ryknął płaczem wielkim i zwalił się, jako dąb mocny, pod stół dębowy. Jan Kiliński zajął miejsce obok Jaśka, wedle którego siedziała Zośka.

— Dziękuj — rzekła dziewka,—Imć panu rajcy za ocalony żywot. Gdyby nie jego starania, nie jego kunsztowna świadomość starych nadań i przywilejów, jenobyśmy teraz widzieli twoje okrwawione zwłoki.

— Niema za co, niema za co! — bronił się Kiliński.—Rad jestem, że pokazałem wszem dookoła, co potrafię; dyabłu samemu ofiarę wyrwę, gdy się uprę. Ale powiadaj — zwrócił się do Jaśka, czyś miał jakową nadzieję obronienia się od śmierci? Z okrutną

fantazyą szedłeś na ścięcie i za to jedno pokochałem cię, jako syna i przyjaciela.

Jaśko po małej chwili jął mówić przyciszonym głosem:

— Jako potrafię, opowiem, co się działo ze mną. Gdy ksiądz bernardyn odmówił nade mną akta, wielka żałość objęła duszę moją. Zacny kapłan wówczas słodkiemi słowy umacniał mnie, krzepił, aż dopiął tego, że wyzbyłem się goryczy, strachu, żalu, błoga senność poczęła mnie ogarniać, a była to już godzina druga po północy. Zasłuchany w ukojenia spowiednika, nie wiem kiedy, zasnąłem. Wtem śni mi się, jakoby siwiuchny, jako gołąbek, staruszek, wsparty na kiju, zbliżał się do mnie. Stanął. Wyciągnąłem obie ręce, ujął je i tak chwilę stał nieruchomy...

Przerwał Jaśko i dech łapał, jako pielgrzym znużony długą bardzo wędrówką.

— Popij winem — podsunął Przygodzie puharek Jan Kiliński. Ciekawe rzeczy powiadasz.

Zośka przytuliła się do Jaśka i poczęła go gładzić rączką po twarzy. Jaśko zaś jął całować kochane ręce i raz wraz powtarzał:

— O, kochanaś ty moja!

— Twoja, kochana — jak echo odpowiedziała Zośka.

— Na zawsze!

— Na zawsze — powtórzyła dziewka.

— Już nikt między nami nie stanie.

— Nikt nie stanie!

— A przestańcie że, do stu pocięgli! — podniosł głos Jan Kiliński.—W najciekawszem miejscu przerywają i poczynają w najlepsze gruchanie czułe. Niedługo będę wam zawadzał, bo mi i czas do wietnicy na radę.

Zośka spłonęła, jakoby wstydem. Odsunęła się, a po małej chwili obróciła wdzięczne oczy na cechmistrza:

— Darujcie! Przepomniałam się, uniesiona nadmiarem szczęścia. Darujcie!

— A ktoby się na was tam mierził, jeno zakonotujcie to sobie, nie mieszajcie kopyta z żarnami, bo zawżdy wątek zgubicie.

— Moja wina — wtrącił Jaśko.

— Ależ do wójta nie idziemy... Ciągnijże dalej. Na czem stanąłeś?

— Póki życia tego marzenia nie przepomnę — rzekł Jaśko. Stanął tedy przede mną starzec i powiada głosem miękkim, wyraźnym, jakbym was słyszał.

Zośka wlepiła w Przygodę oczy i znów się do niego przysunęła.

— Nie bój się — ciągnął Jaśko — powiada do mnie staruszek. Patrz, oto ten cię obroni od śmierci. Ja oczy otworzyłem, widziałem przed sobą stojącego waćpana.

— Kogo? — mnie? — wykrzyknął Kiliński.

— Tak jest! was widziałem. Tak mi, Panie Boże, dopomóż i Jego Męka!

— Rany Chryste!

— Począłem z wielkiej radości płakać, ale starzec mi powiada: „Idź śmiało, nie zginiesz, a popraw się!“ i znikł.

— Byłem tedy pełen nadziei i szedłem na miejsce kaźni bardzo śmiało. Kiedy stanąłem na szafocie, obróciłem się na wszystkie strony, alem was nie widział. Począłem tracić nadzieję. Spostrzegłem Michała Zagrodę, Imć panów Skoczylasa, Narcyza, Królewskiego, a niebawem ujrzałem i was z Zośką. Pociemniało mi w oczach...

VII.

Nie był na weselu Zośki i Jaśka Przygopy Imć pan Jan Kiliński, jak sobie obiecywał. Przyjaciele nowej ustawy, na których czele stał marszałek Ignacy Potocki i Stanisław Małachowski postanowili się zapewnić o pomocy mieszczan. Dnia tedy 1-go maja gruchnęła po Warszawie wieść, że król Jegómość wpisać się ma do ksiąg miejskich, lecz wrogowie ojczyzny i potęgi Rzeczypospolitej postanowili brutalną siłą przeszkodzić temu.

Jan Kiliński spłonął gniewem, kiedy go ta wiadomość doszła na ratuszu miejskim. Huknął pięścią w stół, aż szyby w oknach zabrzęczały, stojące na stole świece jarzące zgasły. Porwał się z ławy, wybiegł na rynek i biegł do gospody szewieckiej. Ludzie oglądali się za radnym, kupić poczęli i biedz w ślad za nim. Zastąpił mu drogę rzeźnik, Józef Sierakowski.

— Dokąd Jasiu, pędzisz z takim impetem, jako wół rozjuszony, kiedy powrósła zerwie?...

— Nie pytaj! Bieżaj za mną, w gospodzie znajdziesz osnowę.

W gospodzie zgromadzeni byli właśnie cechmistrze wraz z towarzyszami. Kiliński wpadł między nich, jako burza, a że posłuchanie miał u swoich braci wielkie, tedy wnet gwar opadł, cisza, jako makiem siał, stanęła. Wszystkich wzroki obróciły się na radnego, a ten wskoczył na stołek i zaczął:

— Wierni synowie ojczyzny naszej: Zaledwie upłynął pierwszy dziesiątek dni od momentu, kiedy wielkie dzieło zacnego i nieprzepomnianego Dekerta wcieliły stany sejmujące w życie, ażeby zgładzić wiekową krzywdę, wyrządzoną stanowi miejskiemu przez starostów i swawolę magnatów... Już dzisiaj wrogowie Rzeczypospolitej chcą podeptać nadaną wolność nam, mieszczanom...

Głuchy pomruk przeszedł po izbie aż rozlał się na ulicy.

— Kto waży się na czyn takowy? — powiadaj — zawołał Sierakowski, a wraz nie zwlekając obuchem mu łeb rozłupię!

— Wiadomo, nie trza ich palcami wytykać — odparł Kiliński.

— Hetman Branicki — krzyknął głos z tłumu.

— Szczęsny Potocki — zawtórował piskliwy głos jakiegoś cechmistrza.

— Rzewuski — dodał ktoś trzeci.

— Całe gniazdo Kossakowskich.

— Ożarowski!

— Jacek Małachowski! — precz odzywały się głosy i padały twardo, jak młoty na kowadło.

— Trafiacie w sedno, bracia i towarzysze mili! — począł znów Jan Kiliński. Wiedzieć tedy macie, że Najjaśniejszy Pan, król Stanisław August życzenie ma godne imię swoje do ksiąg miejskich wciągnąć, aby innym pięknym zacnym przykładem świecić...

— Niech żyje król Jegomość!

— Wiwat Stanisław August!

— Głowy za niego położymy!

— Biada takiemu synowi, coby ośmielił się tknąć osobę jego choć małym palcem! Krew wytoczymy ze zbójnika takiego!

— Jako żywo prawda — wołali dookoła.

— Musimy tedy wedle rozumienia mego stać na pogotowiu. Należy nam wziąć stronę dobroczyńcy naszego, osłonić majestat piersiami braci miejskiej.

— Jako rzekłeś, stanie się — uroczysty głos podniósł Józef Sierakowski.

— Za pierwszym tedy znakiem, a będzie nim chorągiew cechowa, wywieszona na kamienicy mojej, biegnijmy kupą na zamek. Larum, jak kto umie niech czyni i brać gromadzi.

— Wiwat Jan Kiliński!

— Nie skończyłem jeszcze, przyjaciele mili! Zabezpieczyć nam również należy osobę marszałka sejmowego, jaśnie oświeconego Stanisława Małachowskiego. Niemrawe psy, coby chciały Rzeczpospolitą pogrzebać, aby na jej gruzach obmierzłe brzuchy tuczyć, zuchwa-

ły zamiar noszą i chcą wypędzić sromotnie z izby poselskiej męża tego za to, że się wpisał w księgi miejskie...

— Niedoczekanie takich synów, psubratów!

— Czuwajmy społem — kończył Jan Kiliński, aby niecne zamiary na nice obrócić, w proch wrogów zetrzeć, jako gadzinę jadowitą.

— Słusznie! — wołali cechmistrzowie i starsza czeladź.

Tegoż samego dnia wieczorem członkowie klubu patryotycznego wchodzili jeden po drugim do pałacu Radziwiłłowskiego z modlitwą w sercu, a hasłem na ustach:

„By dobrze było ojczyźnie!“

(D. c n.).



ZŁOTE MYŚLI.

Któż kiedy z ludzi nie uczcił fijołka, kwiatów aniołka; bo i w kwiecie, jak na świecie, gdzie tylko będzie zasługa prawdziwa, świat ją odkrywa, a kto o sobie sam trzyma najskromniej, o tym najlepiej Bóg pomni.

A. E. Odyniec.

I cóż się w przyszłości objawi i stanie?... O, Zbawco, o, Panie, myśl własna mnie trwoży, lecz w Tobie otucha: Oświeć lud Twój Boży światłem Twego ducha!

A. E. Odyniec.

Nauka i zabawa.

Święty Franciszek, jako opiekun zwierząt. Stosunek świętych do zwierząt przypomina tradycye Edenu, kiedy świat zwierzęcy podlegał panowaniu człowieka. Po upadku Adama ludzie utracili je i tylko niektórym mężom wybranym udało się mocą miłości ujarzmić naturę. Pustelników Tebaidy często żywiły kruki, podobnie jak Eliasza; lwy kładły się u stóp śś. Wita, Modesta, Krescencyusza, Pawła; niedźwiedzie alpejskie były posłuszne św. Gallusowi; w lasach wogeskich wiewiórki wdrapywały się na ramiona ś-go Kolumbana, nikt jednak nie miał takiej władzy nad przyrodą, jak ś-ty Franciszek z Assyżu, bo nikt jej tak jak on nie ukochał.

Nadziemskie jego oblicze jaśniejące miłością, ciało wychudzone postami i głos słodki, nietylko u ludzi, lecz i w świecie zwierzęcym wzbudzały cześć i zaufanie. Zające i króliki chroniły się w fałdy jego habitu, owieczki biegły ku niemu; ptaki fruwały nad jego głową. On je żywił i przemawiał do nich tkliwie, nazywając braćmi i siostrami.

Nad jeziorem Rieti rybak ofiarował mu ptaka; święty wziął go i puścił, ale ptak zerwał się wówczas dopiero, kiedy otrzymał rozkaz od niego, żeby śpiewał na chwałę Bożą. Nad Trazymenem ryby na jego głos śpieszyły do wybrzeża, on zaś wyciągał nad niemi ręce błogosławiące.

Idąc raz do Sieny, spotkał młodzieńca, niosącego na sprzedaż synogarlice. „Daj mi te ptaki niewinne, które są godłem dusz czystych, wiernych i pokornych“ — rzekł do niego. Rozgrzawszy je w ręku, przemawiał do nich słodko: „Dlaczego dałyście się schwytać, biedne ptaszyny. Ja was ocalę od śmierci i niewoli, uścielę wam gniazdka, gdzie będzięcie mogły się rozmnażać.“ Zaniósł je do klasztoru w Ravacciano i w sadził w ziemię swój kij, z którego nazajutrz wyrosło drzewo i ś-ty Franciszek kazał tym ptakom mieszkać na gałęziach. Były tak oswojone, że jadły z jego ręki.

Koło klasztoru w Fonte-Colombo para skowronków czubatych miała gniazdo; samica codzień przylatywała do świętego po żywność dla piskląt. Zauważył on, że najsilniejsze z nich dziobało inne i wyrywało im okruszyny chleba. „Okrutne i nienasycone ptaszę! zginiesz marnie i żadne zwierzę nie zechce skosztować twego ciała“ — zawołał z żalem. W kilka dni pisklę utonęło.

W Raviand jaskółki tak donośnie świegotały, że zagłuszały ś-go Franciszka. „Drogie moje, jaskółki, nagadałyście się dosyć, teraz pozwólcie mnie mówić“—upomniał je łagodnie—„słuchajcie słowa Bożego i milczcie, dopóki ja nie skończę.“ Ucieszyły się i nawet nie trzepotały skrzydłami.

W klasztorze N. M. P. Anielskiej w Asyżu, konik polny ćwierkał na drzewie figowem na dziedzińcu tuż przy celi ś-go Franciszka i na wezwanie jego skoczył mu na rękę: „Bracie koniku, śpiewaj na chwałę Bożą“ — rzekł do niego. Konik był posłuszny i ćwierkał, dopóki święty nie kazał mu przestać. Tak było przez tydzień. „Już dosyć nasz miły konik wzywał nas do chwalenia Boga, teraz może sobie odejść! — oświadczył święty. Konik poszedł i już się nie pokazał.

Na górze Alwerni piękny sokół miał gniazdo opodal jaskini, w której mieszkał święty Franciszek i zaprzyjaźnił się z nim; przed wschodem słońca, kiedy nadchodziła pora Jutrzni, budził go krzykiem. Raz podarowano świętemu pięknego bażanta, który tak się przywiązał do niego, że wypuszczony na wolność, zawsze wracał. Wzięty przez kogo innego, nie chciał jeść i musiano odnieść go świętemu.

Pobożny pustelnik z Asyżu wszędzie widział Boga; cała natura wydawała mu się jedynie zasłoną, poza którą krył się Stwórca, przepysznem arcydziełem, na które Wszechmocny rzucił kilka promieni nieśmiertelnego piękna; wzywał też wszystkie stworzenia, żeby złączyły swoje głosy dla chwalenia Boga. Kwiaty były dlań uśmiechem Boskim, gwiazdy opowiadały chwałę Przedwiecznego. Tam, kędy inni widzieli tylko znikomą piękność, on spostrzegał niepożyty stosunek między porządkiem fizycznym i moralnym, między tajemnicami przyrody i wiary. Nieraz godziny całe wychwalał skrzętność i pracowitość pszczół; sam odmawiał sobie wszystkiego, ale im kazał dawać w zimie miodu i wina, żeby nie zginęły z głodu i zimna.

Uczniom stawiał za przykład czujność skowronków. Były to jego ulubione ptaki, zachwycał się górnym ich lotem i srebrzystym głosem. Na górze Alwarnii śpiewał naprzemian ze słowikiem noc

całą, a potem nakarmił go. Po ptakach szczególniej kochał owieczki, gdyż przypominały mu Baranka bez zmazy, który poświęcił się na Kalwaryi za grzechy ludzkości. Ile razy widział te zwierzęta prowadzone na rzeź, płakał i odkupywał je. Darowaną owieczkę przyjął z radością i nakłaniał ją, żeby chwaliła Boga i nie obrażała braci. Ilekroć usłyszała śpiewy w kościele, biegła tam i bekiem pozdrawiała Matkę Baranka. Podczas Podniesienia klękała i schyłała łeb.

Pełen miłości dla wszystkich stworzeń, żadnemu nie wyrządził krzywdy i jeżeli zobaczył na drodze robaki, usuwał je ostrożnie, żeby kto ich nie zdeptał. Każda rzecz przypominała mu źródło, z którego świat powstał. Podczas Wielkiego Tygodnia, kiedy przejęty boleścią rozpamiętywał Mękę Chrystusa Pana, wzywał ptaki, żeby zaprzestały śpiewać i smuciły się z nim.

Na początku swego apostolstwa, spostrzegłszy w Beragna mnóstwo ptaków, rzekł do towarzyszów: „Czekajcie, muszę przemówić do moich braci ptaków.“ Zbiegły się tłumnie na głos świętego, który w ten sposób do nich przemówił: „Kochane ptaszęta, mili braciszkowie moi, Stwórca obsypał was dobrodziejstwami, powinnyście więc błogosławić go na każdem miejscu i w każdej godzinie. On was przystroił w piękne pióra, dał skrzydła zdolne do lotu; On zachował wasz ród od zguby w arce i przeznaczył wam na pobyt czyste strefy powietrzne. On was żywi, choć nie siejecie i nie sprzątacie, dał wodę w rzekach i strumieniach, góry i doliny na mieszkanie, drzewa i krzewy na gniazda; On czuwa nad waszemi pisklętami. Kiedy Stwórca tak was ukochał, strzeżcie się niewdzięczności względem Niego, lecz składajcie Mu ciągle hołd i śpiewajcie Jego chwałę.“

Podczas tego kazania, ptaki wyciągały szyje, trzepotały skrzydłami i pochylały łebki na dowód zadowolenia i radości. Święty swobodnie przechadzał się śród nich, głaskał je i zachwycał się ich upierzeniem. Potem pobłogosławił je i kazał im rozlecić się w cztery strony świata. Wróciwszy do towarzyszów, wyrzucał sobie, że dotąd zaniedbał przemawiać do swoich braci ptaków, które z takiem uszanowaniem słuchały słowa Bożego.

Śliczna legenda o świętym Franciszku przywiązana jest do starożytnego miasteczka Gubbio, położonego na północ Assyżu śród skalistych wąwozów apenińskich. W XIII wieku była tam puszcza zarosła gęsto drzewami, w której przebywał olbrzymi wilk, plaga i postrach okolicy, nietylko bowiem rzucał się na bydło i owce, ale nadto pożerał ludzi. Nikt bez broni nie śmiał wychylić się za mury.

Swięty, dowiedziawszy się o tem, przejęty spółczuciem, udał się w góry, szukając legowiska wilczego. Krwiożercze zwierzę skoczyło ku niemu z otwartą paszczą; tłum idący za nim zdala, struchlał ale Ojciec Seraficki przeżegnał wilka i rzekł do niego: „Chodź tu, bracie wilku, i w Imię Chrystusa nie czyń krzywdy ani mnie, ani nikomu.“ Na te słowa wilk zamknął paszczę i położył się u stóp świętego, niby łagodny baranek.

„Bracie wilku“ — mówił dalej święty — „wielkie są twoje zbrodnie, pożerałeś nietylko zwierzęta, ale i ludzi, stworzonych na podobieństwo Boże. Wszyscy szemrzą przeciw tobie. Zasłużyłeś na śmierć, ja jednak wiem, że tylko głód popchnął cię do złego, chcę zatem, żebyś zawarł pokój z mieszkańcami. Przyrzeknij mi, że odtąd będziesz się dobrze prowadził, oni zaś przebaczą ci i będą cię żywili. Czy zgoda?“ Wilk kiwnął łbem na znak, że przyjmuje te warunki i jak pies poszedł za świętym do miasta.

Cała ludność zbiegła się na rynek. Burmistrz i mieszkańcy, zapytani z kolei, czy zgadzają się na tę umowę, oświadczyli, że gotowi są dostarczać mu żywności; wtedy wilk ku ogólnemu zdumieniu, podał łapę świętemu. Żył jeszcze po swojem nawróceniu dwa lata w Gubbio, ale nikomu nie wyrządził krzywdy i chodził od domu do domu, obficie karmiony przez mieszkańców. Żaden pies nie szczekał na niego. Kiedy zdechł ze starości, ogólnie go żałowano.

Z. S.

Arabska wszechnica El-Azhar w Kairze. Najwęższemi i najbrudniejszemi uliczkami, któremi ledwie przejedzie wązki wózek arabski, dotrzemy ku wspaniałemu, białemi kolumnami przybranemu pałacowi. Gmach wspaniały, cały z marmuru. To jedna arabska Alma mater, jedyny jaśniejszy punkt na ciemnem tle zacofanego życia Arabów. Ta najznakomitsza akademia wschodu, zarazem główne ognisko mahometańskiego fanatyzmu, liczy przyszło 20,000 słuchaczów najrozmaitszych narodowości wschodnich, zgrupowanych pod sztandarem Islamu. Nie uczą tutaj medycyny, ani prawa, lecz prawideł i filozofii religii Mahometa, która według zapatrywań Arabów jest nauką nauk. Z niej wszystkie gałęzie wiedzy wypływają i w niej się skupiają.

Osobliwy widok rzuca się w oczy cudzoziemca. Obszerne dziedzińce, wykładane białym lub czerwonym marmurem. Setki Arabów, zawiniętych w długie szare opończe, leży, stoi lub siedzi na posadzce ze skrzyżowanemi pod siebie nogami; powtarzają swe za-

dania, dysputują, wymachując rękami, lub jedzą z małych specyalnych miseczek, albo ostatecznie, śpiąc, marzą o przyszłem szczęściu.

Wśród tych istot spragnionych krynicy wiedzy, przelatują przekupnie, nastręczając w sposób ogłuszający swe towary, rozmaite przysmaki, chłodniki i t. p. Rozumie się, że nie brakuje wśród nich Anglików z aparatami fotograficznemi, zdejmujących bardziej zajmujące grupy. Jednak największa nawet natarczywość nie wytrąci Araba z jego spokoju, który już od natury posiada! Zasługuje na uwagę widza i to również, że wśród młodocianych studenckich twarzy dojrzeć można wielu siwowłosych starców, którzy trochę już zapóźno wzięli się do nauki.

Przenikliwy głos dzwonka sprowadza powszechną ciszę, znak, że wykłady się rozpoczynają. Wszyscy zaczynają się tłoczyć do ogromnej sali, liczącej przeszło 3,000 metrów kwadratowych przestrzeni. Sklepienie sali podpiera 140 marmurowych kolumn. Jest to była świątynia arabska. Dotąd jeszcze wiszą przymocowane do sufitu lampy i lustrzane ozdoby. Oprócz pięknie rzeźbionego fotelu, na którym zasiada profesor (i to tylko w dni uroczyste) niema tu ani stołów, ani ławek. Studenci, zdjąwszy swe czerwone pantofle, siadają na słomianych matach, rozpostartych na ziemi i w pozycyi takiej ze skrzyżowanemi nogami słuchają wykładów. Każdy ma przymocowany na piersiach wielki mosiężny kałamarz i trzcinowemi piórami notuje treść wykładu. Wykład rozpoczyna się modlitwą i rozmyślaniem na temat jakiegoś ustępu z koranu. Jeden z uczni przeczyta jakiś wiersz z świętej księgi, a profesor stara się go w możliwie najprzystępniejszy sposób wyłożyć. Każdy z uczących się ma prawo żądać dokładniejszych wyjaśnień. Często więc kończy się, że dla utrzymania porządku zbyt ciekawych wyrzuca się za drzwi.

W szerokich korytarzach i poczekalniach znajdujemy najrozmaitszego rodzaju ogłoszenia i reklamy ponalepiane na ścianach. Naprzykład: „Bracia studenci! — kto z was znalazł piękny, mosiężny, cyzelowany kałamarz, który zgubiłem w podwórzu, niech go odda, a Bóg mu za to zapłaci. Należy do Mohameda Hasana z sekcyi Cheika Saida“ i t. p.

Przez długie korytarze wychodzi się na dziedziniec, na którym odbywają się wykłady w dni pogodne. Czcigodny profesor sadowi się na ziemi, obok jego uczniowie obojga płci i znów idzie wykład treści koranu. Jest osobna sekcya dla niewidomych. Ponieważ ci nie mogą sobie robić notatek, więc profesor stara się wbić im mądrość do głowy, powtarzając głośno jedno i to samo.

Akademia El-Azhar założona przez jeden z zakładów dobroczynnych, posiada również 30 pokojów dla niezamożnych studentów. Pomocy tam udzielają bezpłatnie. Zaznaczyć należy, że mieszkania te urządzone są z pewnym komfortem i według najnowszych wymagań hygieny. Posiadają naprzykład łaźnie, z których korzystać mogą wszyscy słuchacze. Oprócz przedmiotów treści filozoficznej wykładają jeszcze matematykę, gieografię i historyę islamu. Wykłady te odznaczają się wielką popularnością, gdyż uczniowie są zazwyczaj słabo przygotowani i brak im zupełnie wrodzonej inteligencyi; a oprócz tego są dziecinni, skąpi, kłamliwi i w wysokim stopniu naiwni; ich usposobienie do próżniactwa jest wprost zdumiewające.

Posiadanie umiejętności czytania i pisania już należy do sztuk. Alfabet arabski posiada wiele liter i znaczków, a oprócz tego przyjął się sposób pisania bardzo niewygodny, mianowicie papier trzyma się w lewej ręce nieoparty na stole i pisze się od prawej ręki ku lewej. Nikogo nie zadziwi, że tego rodzaju zadanie jak poniższe może ich wprowadzić w kłopot: „Jeżeli zegarek w ciągu godziny spóźni się o 25 minut, to o ile spóźni się w ciągu pół godziny?“... Całe zgromadzenie przemyśla z zafrasowanemi minami, dopóki profesor z dobrotliwym uśmiechem zadania nie wyjaśni... Również nic dziwnego, jeżeli na wykładach gieografii dowiemy się, że Węgrzy są to ochrzczeni muzułmani, a że Wiedeń jest stolicą Prus. I tak więc głównym przedmiotem uniwersytetu kairskiego jest koran, przedmiot bardzo niewdzięczny i suchy. Mimo to uczą go się wykładać, pisać, a również recytować z pamięci. Tacy zaliczają się w poczet mędrców i obdarzeni są zaszczytnem mianem „hafes“. Studenci żyją przeważnie na koszt meczetów, profesorzy zaś na koszt bogatych paszów; jeden tylko rektor dostaje od rządu egipskiego pensyę.

Maszyna parowa - lokomotywa i jej twórca Jerzy Stefenson. Złoto mogłoby zniknąć z oblicza ziemi i nic by na tem cywilizacya nie ucierpiała, lecz gdyby kiedyś zabrakło żelaza, nastąpiłaby wówczas straszna klęka dla wszystkich.

Słynny podróżnik kapitan Cook opowiada, do jakich bogactw doszedł naczelnik plemienia indyjskiego na wyspie Otahaiti przez to, że posiadał dwa żelazne gwoździe, które wypożyczał za pewnem wynagrodzeniem swym podwładnym do wiercenia dziur.

Wynalezienie żelaza i początek wyrabiania narzędzi żelaznych stanowi epokę w dziejach cywilizacyi. Odkrycie siły pary stanowi

drugą epokę. Żelazna maszyna parowa zapoczątkowała i potęguje ciągle rozwój przemysłu. Przy jej pomocy wydobywają ludzi z ziemi bogactwa: węgiel, rozmaite rudy, naftę i t, p. Przy pomocy machiny parowej przetapia się i przerabia metale na rozmaite pożyteczne przedmioty.

Machina parowa miele nam zboże na mąkę, przędzie, tka materyały na ubrania, wiezie nas hen! w ukryte kraje; siła pary zamknięta w kotle żelaznym, daje się nam dowolnie kierować. W roku 1665 Francuz Papin, lekarz z zawodu, pierwszy zastanowił się nad siłą pary. Obserwował wodę wrzącą w kotłach i zauważył, że para może zrzucić nawet bardzo ciężkie pokrywy, o ile się naczyń z ognia nie usunie.

Papin pierwszy wpadł na pomysł zużytkowania siły pary. Zbudował aparaty z tłokami, które poruszała para i chciał swój wynalazek zastosować do celów praktycznych. Choć maszyny jego były jeszcze bardzo niedoskonałe, dały jednak pobudkę do zastanowienia się nad siłą i własnościami pary. Pomysłowi ludzie zaczęli coraz bardziej udoskonalać machinę Papina, starając się użyć ją do tego, żeby mogła zastąpić w wielu wypadkach pracę rąk, np. przy pompowaniu, ciągnieniu, podnoszeniu i t. d.

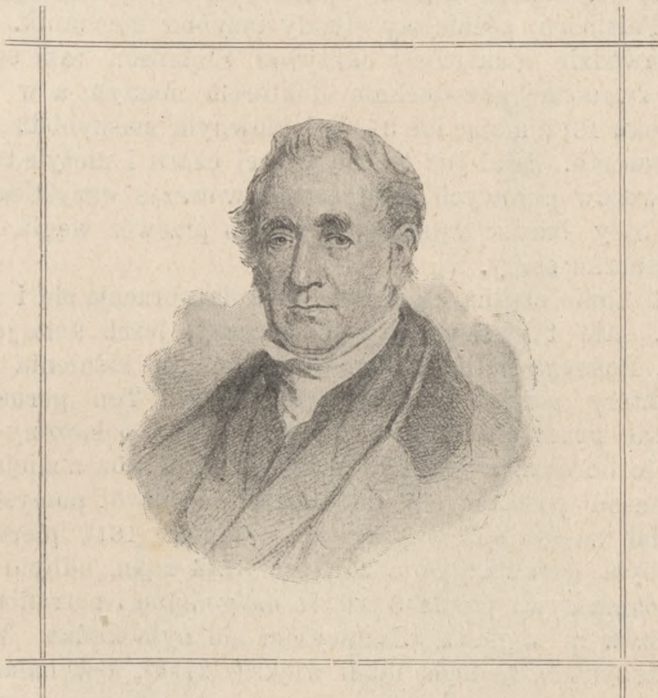
Jakób Watt, syn biednej rodziny szkockiej, zbudował machinę parową, która długo była w powszechnem użyciu. Watt kształcił się na mechanika i jako majster, urządził sobie mały warstacik w Glasgowie. Jako bardzo zdolny, otrzymywał z tamtejszego uniwersytetu rozmaite przyrządy naukowe do reparacyi. Przy tych zajęciach tak się wyćwiczył w mechanice, że uczeni i profesorowie zapraszali go często do pomocy i w wielu wypadkach zasięgali jego rady. Pomimo to żył w wielkiej biedzie i dopomagał sobie innemi zajęciami, jak np. miernictwem.

Miał wówczas lat 27, gdy dano mu do naprawy jakąś starą maszynę parową. Zauważył liczne jej braki i od tego czasu przez dwanaście lat pracował nad jej udoskonaleniem. I rzeczywiście maszyną swego pomysłu przyczynił się do rozkwitu przemysłu i pracy. Cylindry, koło rozpędowe, korby, kierownice i cały szereg urządzeń, jakie dziś mają maszyny parowe, to wszystko wynalazek Watta.

Watt zbadał również, że woda składa się z dwóch gazów (tlenu i wodoru), dał pomysł ogrzewania budynków za pomocą pary, oraz dużo nowych mechanicznych urządzeń. Zmarł w roku 1819, a pamięć jego, jako jednego z dobroczyńców ludzkości, uczczono przez wiele pomników. Uczeń jego Murdock obmyślił pierwszy model samochodu. Cóż się jednak stało? Oto gdy wynalazca razu pewne-

go wyjechał wieczorem na drogę, ludzie, przerażeni niezwykłym widokiem i sykiem maszyny, rzucili się na nią uzbrojeni w kije i widły; myśląc, że biją Belzebuba, zniszczyli genialny wynalazek. I pompy Watta z początku nazwali górnicy „żelaznymi dyabłami,“ a dopiero gdy poznano ich wartość, ochrzczono mianem „czarnych aniołów...“

Przecież maszyna parowa, to jeszcze nie lokomotywa, a nad wynalazkiem tego smoka parowego, który zastępuje tysiące koni,



Jerzy Stefenson, twórca lokomotywy i kolei żelaznych.

mozolili się wynalazcy przez długi szereg lat. Ten, który wynalazł dzisiejszą lokomotywę, rzeczywisty twórca kolei żelaznych, nazywał się Jerzy Stefenson. Był on synem palacza przy maszynie parowej w jednej z angielskich kopalni węgla. Dzieciństwo i młodość spędził w biedzie.

Urodzony w r. 1781, pasał do czternastego roku życia trzodę, lub pracował jako małoletni robotnik dzienny. W piętnastym roku został palaczem, a w dwa lata później sam obsługiwał machinę;

czytać ani pisać wcale nie umiał, gdyż z powodu biedy uczyć się nie było za co.

Młody Stefenson rozumiał potrzebę nauki i w wolnych chwilach od pracy, uczył się sztuki czytania i pisania. W roku 1801, mając lat 19, umiał się zaledwie podpisywać. Ale bieda dokuczała; nauczył się naprawiania zegarków, łatania butów, a od czasu do czasu oddawał dozór nad maszyną wyuczonemu pomocnikowi, aby chodzić do portu wyładowywać worki z węglami; w taki sposób zarabiał na życie. Razem z nim wyładowywał worki drugi robotnik, Wilhelm Fairbairn, późniejszy słynny inżynier mechanik.

W zawodzie maszynisty okazywał Stefenson taki spryt i biegłość, że zwano go powszechnie doktorem maszyn, a w 10 lat później, w roku 1812, mając lat 31, był głównym maszynistą w kopalni w Killingsworth. Miał już trochę więcej czasu i nietyle trosk o byt. Kwestya wozów parowych interesowała wówczas wszystkich, bo ceny owsa były bardzo wysokie, przez co przewóz węgla końmi kosztował znaczne sumy.

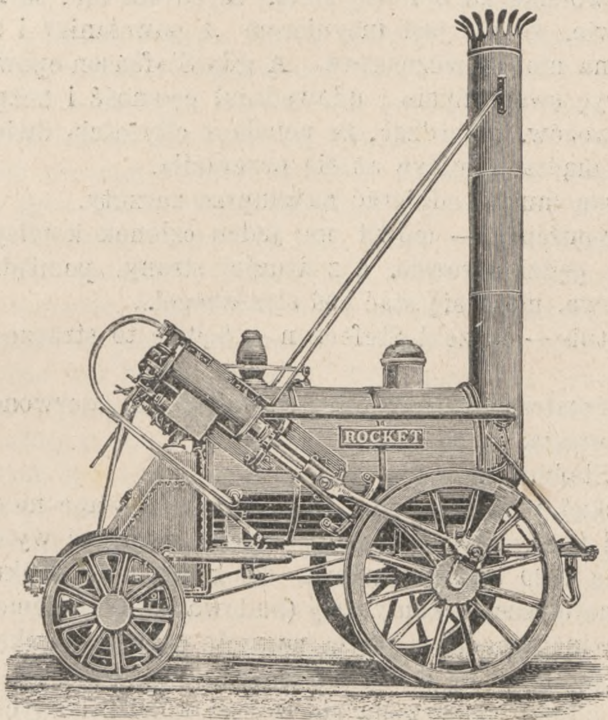
Jeżeli konie ciągną za dyszel, to koła obracają się i wóz rusza z miejsca. Ale tak samo wóz się poruszy, jeżeli koła jego kręcić będziemy. Maszyna parowa porusza za pomocą ciśnienia pary drąg żelazny, który porusza się w dwie strony. Ten poruszający się drąg został przez Stefensona w taki sposób połączony z kołami wozu, że je obracał, a przez to samo poruszał wóz z miejsca.

Stefenson postarał się tak opracować swój pomysł, aby się istotnie dał zastosować w praktyce. W roku 1814 pierwsza lokomotywa była gotowa. Dnia 25 lipca 1814 roku odbyto pierwszą próbę. Lokomotywa biegła 8 wiorst na godzinę i potrafiła uciągnąć szereg wozów z węglami. Zachwytom nie było końca. Właściciele kopalni cieszyli się, że będą mieli większe zyski, a wynalazca zyskał uznanie jako genialny inżynier. Do innego wynagrodzenia kapitaliści ci nie byli skorzy. Powodzenie pierwszych parowych wozów zachęciło Stefensona do budowy dalszych. Odtąd poświęcił całą swą pracę ulepszeniu lokomotyw i dróg żelaznych. Brak pieniędzy był mu ogromną przeszkodą; musiał się męczyć, walczyć nieustannie z przeciwnościami i podziwiać trzeba nietylko jego wytrwałość i pracę, ale i dzielny prawy charakter.

W roku 1815 wynalazł Stefenson „lampę bezpieczeństwa“ dla górników, chroniącą robotników pod ziemią przed wybuchami gazu w kopalni. Górnicy wdzięczni zebrali między sobą około 1000 rubli i suma ta była pierwszym kapitałem Stefensona, później dopiero przyszli mu z pomocą kapitaliści.

Do końca życia pamiętał Stefenson i wspominał owe 1000 rubli zebranych przez robotników, jako wyraz szczerej wdzięczności i uznania od tych, dla których pracował.

W roku 1825 nastąpiło otwarcie pierwszej kolei żelaznej ze Stockton do Darlington; Stefenson przy otwarciu nowej linii przebył ją, sam prowadząc parowóz pierwszy, wykonany we własnej fabryce. Parowóz ten, jako pamiątkę, ustawiono w roku 1857 na wy-



Rakieta, zwycięski parowóz Stefensona.

sokiej murowanej podstawie przed dworcem w Darlington. Jest to jeden z najwymowniejszych pomników, jakie postawiono wielkiemu wynalazcy.

Na tej pierwszej kolei ciągnięto wozy już to lokomotywą, już to końmi, a szybkość parowozu nie przekraczała mili na godzinę. Kolej ta służyła przeważnie do przewożenia węgla i towarów, nikomu ani się śniło, że możnaby jechać prędzej i odważyć się na przewóz osób; tylko Stefenson marzył o tem.

Ale teraz kupcy, kandlarze bydła, piwowarzy i inni zamożni ludzie poznali, że te parowozy, to niezła rzecz i mogłaby przynieść znaczne dochody. Postanowili więc zbudować kolej między wielkiemi handlowemi miastami. Liwerpoolem i Manchesterem.

Wezwano Stefensona i rozpoczęły się nowe prace i trudy; konkurenci, właściciele okrętów, bogaci obywatele angielscy poczęli przeszkadzać, a że to byli ludzie wpływowi, stawiano ciągle nowe trudności genialnemu inżynierowi. Komisya parlamentarna, od której zależało pozwolenie na budowę kolei, zarzucała mu, że nie rozumie się na sprawie, że nie jest inżynierem „z powołania" i że chce narazić ludzi na niebezpieczeństwa. A gdy Stefenson opowiadał z prostotą, historyę swego życia i udowadniał pewność i bezpieczeństwo swych parowozów, twierdząc, że pojadą z chyżością dwie i pół mili na godzinę, mądra komisya aż się przeraziła.

Stefenson musiał odpierać najgłupsze zarzuty.

— Przypuśćmy — mówił mu jeden członek komisyi—że z jednej strony pędzi parowóz, a z drugiej strony, pomiędzy szynami leci nań krowa, może się stać coś strasznego!...

— Istotnie — odrzekł Stefenson — będzie to straszne, ale tylko dla krowy.

Inny przestrzegał, że komin rozpalony do czerwoności, będzie straszył zwierzęta.

Na to Stefenson:

— A skąd wiedzieć będą, że to niepomalowane na czerwono?...

Takie i tym podobne zarzuty musiał zwalczać wynalazca. Od roku 1826 do 1829 trwała budowa tej kolei, a na konkursie rozpisanym dla najlepszej lokomytywy (budowa takich lokomotyw zatrudniała wielu inżynierów) zdobyła nagrodę 6 października 1829 r. lokomotywa „Rakieta" — dzieło Stefensona.

Od tej chwili rozpoczyna się rozwój kolei żelaznych na całym świecie i wszędzie oddaje usługi nieocenione. Stefenson zmarł w roku 1848, przeżywszy lat 67.

Wiele miast uczciło jego zasługi pomnikami.

Wybryki piorunów. Ogień niebieski zabija więcej ludzi, niż przypuszczamy: badając te wypadki, trzeba istotnie podziwiać różnorodność zjawisk elektrycznych. Oto kilka przykładów. Pewien młody żołnierz wyszedł od krewnych po burzy i widząc, że deszcz znowu pada, zaczął biedz, żeby prędzej dostać się do koszar. Wtem uczuł, że coś go porywa i przenosi na drugą stronę placu, o 100 łokci dalej i rzuca o ścianę. Nie widział wcale błyskawicy, nie sły-

szał grzmotu. Jednocześnie piorun wpadł do sąsiedniego domu, przewrócił krzesło, potłukł butelki, w oborze zaś zabił dwie krowy. Żołnierz miał stłuczone kolano i podrapane ręce, ale zresztą nic złego mu się nie stało. Gorzej piorun obszedł się z młodym pastuchem na łące: biedny chłopak został zupełnie zwęglony.

Wiadomo, że największe niebezpieczeństwo grozi ludziom, którzy podczas nawałnicy chronią się pod drzewa. Kilku podróżnych, uciekając przed deszczem, spostrzegło człowieka i psa pod wierzbą objętych płomieniem. Widząc, że żadne się nie rusza, zbliżyli się i przekonali, że to były już trupy. Trzech żołnierzy stanęło pod drzewem podczas burzy. Piorun uderzył i wszystkich zabił; mimo to stali jak przedtem. Kiedy minęła nawałnica, ludzie zaczęli na nich wołać, a nie odbierając odpowiedzi, podeszli do nich. Za pierwszem dotknięciem zabici rozsypali się i został z nich tylko stos popiołu.

Grom nie zawsze sieje śmierć i zniszczenie, lecz niekiedy bawi się w figle. Raz naprzykład, zdarł z pewnego przechodnia odzież, bieliznę i obuwie, zostawiając mu tylko jeden mankiet. Łatwo wystawić sobie zdumienie przechodnia, kiedy otrzeźwiony chłodem odzyskał przytomność i przekonał się, w jakim jest stroju. Często trafiają się wypadki, że piorun zdziera z człowieka ubranie i trzewiki, nie wyrządzając mu żadnej szkody. Tym sposobem przekonano się raz, że pewien mężczyzna był w istocie przebraną kobietą: piorun podarł na strzępy odzież i bieliznę i odrzucił je daleko.

Pewnej kobiecie stopił w uchu kolczyk: oprócz wstrząśnienia, nic złego jej się nie stało, tymczasem krowy pasące się obok niej na łące, padły nieżywe. Na polu pod Pawią, kula ognista musnęła bose nogi młodej wieśniaczki, wdarła się pod suknie i doszedłszy do szyi, wyleciała przez dziurę w staniku. Dziewczę żadnej nie poniosło szkody, miało tylko czerwoną pręgę na ciele. W jednym z kościołów paryskich piorun spalił jakiejś pani całą pończochę, nie sparzywszy nogi. W Dampierre, we Francyi, wyrwał nożyczki z rąk szwaczki, siedzącej przy maszynie.

W pewnej wsi, podczas burzy, na szczycie topoli ukazała się ognista kula wielkości jabłka, po gałęziach zsunęła się na ziemię i kręcąc się śród kałuży, potoczyła się na sąsiedni dziedziniec, gdzie pod wrotami obory stało dwoje dzieci. Jedno z nich przez ciekawość dotknęło jej nogą: natychmiast rozległ się straszny huk, dzieci zostały przewrócone, ale nie poniosły szwanku, tymczasem w oborze znaleziono zabitych kilkanaście sztuk bydła. Jak wytłómaczyć to zjawisko?

Pewien człowiek mijał właśnie krzyż przydrożny, kiedy grom w niego uderzył i powalił o ziemię. Pospieszono mu na ratunek i rozbierając go, zobaczono na plecach krzyż, odznaczony czerwonemi pręgami. Te zadziwiające zdarzenia dowodzą, jak mało wiemy jeszcze o elektryczności, chociaż z jej usług korzystamy.

Są miejscowości tak szczęśliwe, że pioruny rzadko w nich uderzają, naprzykład w Paryżu nigdy prawie nie słyszy się o wypadku śmierci od gromu.

Z. S.

Prawy chrześcijanin. Kto kocha Boga, umie i stara się żyć i umierać po chrześcijańsku. W pewnem miejscu poczciwy jeden wieśniak dotknięty został straszną chorobą raka i to na języku. Należało mu wyciąć takowy. Kilku doktorów wzięło się do operacyi, z których jeden nieco z litością, a nieco i z żartem do chorego się odezwał:

— Jeśli masz co do powiedzenia, mów teraz, bo choć cię uratujemy, nie będziesz mógł mówić. To będzie ostatnie przez ciebie wypowiedziane słowo na tej ziemi!

Wszyscy byli ciekawi, jakiem słowem chory pożegna otaczających. Aliści on pomyślał i wyrzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Cóż dziwnego, że wszystkim przytomnym na taką wiarę i uczucia chrześcijańskie prostaka łzy w oczach zaświeciły! Żył, chwaląc Boga i umierał ze słowem tej czci ostatniem!

Ostrożność nigdy nie zawadzi. Smutno, że się ludzie nie mogą nauczyć ostrożności z obrzydliwymi papierosami, że ich nie wytrącają z rąk niedorostków i że pobłażają dzieciom, co się do palenia zabierają — bo oto bez przestanku smutne z tej mody wynikają skutki. W pewnej wsi przez papierosy spaliła się stodoła, spichrz, szopy gospodarskie — spaliło się zboże, słoma, wozy, bryczki, narzędzia rolnicze — słowem marne papierosiki zrządziły na 10 tysięcy rubli szkody. I czyż warto dla tej głupiej ambicyi i nałogu, tyle krzywd ludzkich mieć na sumieniu swojem?



NIE ZABIJAJ!

Rady lekarskie, jak się ustrzedz cholery.

Dochodzą nas z Rosyi alarmujące wieści o cholerze, która setkami zabiera ofiary. Codziennie telegramy podają przerażające cyfry: „dziś w Petersburgu zmarło na cholerę tyle a tyle osób, w Astrachaniu 200, w Kijowie 100 i t. d. A w miarę tego, jak i u nas już tu i owdzie zdarzały się wypadki tej strasznej choroby, ogarnia wszystkich trwoga, czy i nam nie wypadnie zapoznać się z nią bliżej?... Chociaż w roku zeszłym pisaliśmy już obszernie w „Dzwonku Częstochowskim“ o cholerze i walce z nią, jednak ze względu na grożącą obecnie epidemię raz jeszcze przypomnimy przepisy, jak się ustrzedz choroby i jak sobie radzić wrazie zasłabnięcia.

Choroba ta rozpoczyna się ogólnem niedomaganiem, mdłościami, wymiotami, silnem rozwolnieniem, bolesnymi kurczami w łydkach.

Wymioty i wypróżnienia są obfite, wodniste, barwy szarej, niekiedy krwawe lub czarne, zawsze nieokreślonego mdłego zapachu, Skóra u takiego chorego czernieje, traci swą elastyczność (ujęta w fałdę nie wygładza się prędko), pokrywa się lepkim potem, oczy zapadają się głęboko, nos zaostrza się, jak u trupa, brzuch zapada się, głos zmienia się, słabnie, robi się monotonny, chrypliwy, niewyraźny. Chory wpada w dziwny stan zobojętnienia: nic go nie obchodzi, co się koło niego dzieje. Pragnienie męczy go od początku choroby, a często dostaje czkawki. Siły chorego wyczerpują się bardzo szybko — już po piewszych wymiotach lub wypróżnieniach nie może utrzymać się na nogach i pada bezsilny na ziemię. Choroba rozwija się bardzo szybko i zazwyczaj trwa dwa, trzy dni, a niekiedy jeszcze krócej — kilkanaście godzin i kończy się śmiercią. Jeżeli choroba przewleka się, bierze obrót lepszy, to wówczas zmniejszają się wymioty, kurcze i chory bardzo powoli powraca do zdrowia.

I w tym jednak okresie choroba z całą gwałtownością może się ponowić, mogą przyłączyć się rozmaite powikłania, które wcześniej lub później chorego o śmierć przyprawiają. Wszystkie te objawy, powyżej opisane, nie zawsze występują, zdarzają się bowiem i lekkie przypadki cholery, które prędko kończą się wyzdrowieniem.

Przyczynę cholery odkrył słynny uczony dr. Robert Koch w roku 1883; są nią drobne żyjątka, czyli bakterye, mające kształt przecinków; są tak małe, że dopiero przy pomocy 1000 razy powiększającego szkła można je zobaczyć. Zarazki te mnożą się szybko i rosną. Z jednego w ciągu kilku godzin rodzą się miliony. Zarazki te przedostają się do naszego organizmu, rozmnażają się w nim, żyją jego kosztem, a w zamian za to wydzielają pewne trucizny, które nader zgubnie wpływają na nasze zdrowie. Podczas epidemii zarazki cholery znaleźć możemy *w wodzie* sadzawek, rowów, studzien zanieczyszczonych, w kałużach przydrożnych; oprócz tego znajdować się mogą w produktach spożywczych, jak to: w mleku, maśle, serze, mięsie, owocach i jarzynach; może być nimi zakażona bielizna, ubranie i wszelkie przedmioty. Muchy mogą łatwo roznosić zarazę, siadają bowiem całemi masami na ciałach zmarłych, na pościeli lub bieliźnie chorych, a następnie roznoszą zarazę na wszystkie strony.

Największe spustoszenie czyni cholera wśród klasy uboższej, w najbrudniejszych dzielnicach miasta, w ciemnych, źle przewietrzanych mieszkaniach, bo niechlujstwo najwięcej sprzyja rozpowszechnianiu się cholery.

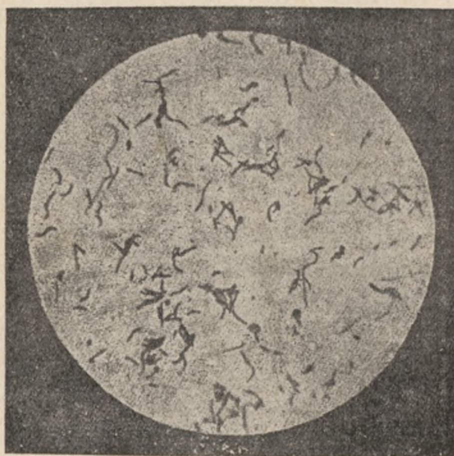
Za to zarazek cholery nie znosi słońca, suchości; we wrzącej wodzie i parze gorącej szybko ginie. Kwasy, nawet bardzo rozcieńczone, zabójczo nań działają. Kwas solny naprzykład, który stale znajduje się u zdrowych ludzi w żołądku podczas trawienia, niszczy zarazki cholery. Dlatego nie wszyscy zapadają na cholerę. Najczęściej cierpią osobniki nie zachowujące umiarkowania w jedzeniu i piciu, nadużywający alkoholu (wódki, piwa). Środki dezynfekcyjne, jak wapno, dziegieć, szare mydło, ług, a szczególniej karbol i sublimat, zabijają zarazki cholery; również zabójczo działają na nie olejki: miętowy, terpentynowy i inne. Tymi więc środkami należy z cholerą walczyć.

Oto kilkanaście rad i przepisów, podanych przez lekarza d-ra Puławskiego na czas epidemii cholerycznej:

1) Przedewszystkiem nie należy się cholery bać. Od cholery łatwiej się uchronić, niż z niej wyleczyć — a uchronić się znowu od cholery łatwiej, niż od innej jakiej zarazy.

2) Należy zachować umiarkowanie w jedzeniu i piciu, w pracy i zabawie, gdyż wszelkie nadużycia podczas epidemii cholery szkodzą więcej, niż kiedykolwiek. Przejedzenie się i przepicie sprowadza zepsucie trawienia, a gdy trawienie jest złe, zarazek łatwiej się człowieka czepia. Przepracowanie znów i niewywczasowanie się osłabia człowieka, robi go na zarazę mniej odpornym.

3) Nie wychodzić z domu naczczo, tylko wypić lub zjeść coś ciepłego, a to dlatego, że w pustym żołądku niema kwasu solnego, który jak wiemy jest trucizną dla zarazka cholerycznego. Kwas ten zaczyna się wydzielać w żołądku dopiero po spożyciu pokarmu.



Kropla wody z zarazkami cholery widziana przez drobnowidz (mikroskop).

4) Należy pić wodę tylko czystą, ze studni niepodejrzanej, najlepiej kryniczną. Żadną miarą nie pić wody z rzek, stawów, sadzawek i rowów. Tylko w Warszawie można pić wodę wiślaną z wodociągów, bo tam są filtry. Jeżeli niema dobrej wody, to pić tylko wodę przegotowaną, ale trzymaną w naczyniu przykrytem, bo i do wody przegotowanej, ale trzymanej w naczyniu otwartem, mogą się przedostać zarazki cholery. Woda przegotowana nie jest smaczna, dlatego można do niej dodawać odrobinę cytryny, kwasu cytrynowego lub winnego (byle nie dużo!)

W drodze i miejscach nieznanych pić wodę tylko przegotowaną.

5) Wszelkie produkty z targu przynosić w czystym koszu, wyłożonym czystą bibułą; po przyniesieniu do domu, albo je zaraz

ugotować, albo oblać ukropem. Owoce jadać tylko obrane ze skórki, jarzyny kłaść na chwilę do gorącego pieca. Nie kupować na straganach żadnych jedzeń ani łakoci, które mogą być popstrzone przez muchy roznoszące chorobę.

6) Zachowywać jak największą czystość koło własnej osoby. Gdzie jest łaźnia, kąpać się co tydzień, a codziennie porządnie umywać. Ręce myć mydłem i wodą przed każdem jedzeniem, bo brudnemi rękami najczęściej zarazek cholery do ust zanosimy. Tak samo należy myć ręce po każdej bytności w miejscu ustępowem. Jak najczęściej zmieniać bieliznę i pościel. *Czystość, to najpotężniejszy wróg cholery.*

7) W izbach również należy dbać bardzo o czystość i dostęp słońca, o suchość pomieszkania, o czystość na podwórzu i naokoło domu. Kałuże powinny być zasypane. Dzieci powinny się bawić tylko w miejscach suchych i słonecznych.

8) Unikać wszelkich tłumnych zebrań, zwłaszcza na jarmarkach, na stypach pogrzebowych. W ogóle podczas epidemii cholery jak najrzadziej do miasteczka zaglądać.

9) Przed monopolem nie wystawać, bo nietylko wódka, ale i zetknięcie się z pijakami szkodzi, bo ci najczęściej zarazek cholery w sobie noszą. Nie wierzyć pijakom, a nawet i trzeźwym, którzy zachwalają na cholerę różne miętówki, jarzębówki i t. p.

10) Nie odwiedzać ludzi chorych na cholerę, a gdy to jest konieczne, po każdych takich odwiedzinach należy starannie wyszorować ręce mydłem i wodą gotowaną i usta wypłókać.

Sumienne wypełnianie tych 10 przykazań opartych na doświadczeniu, może każdego od cholery uchronić.

Co się tyczy samego leczenia cholery, to trzeba o tem wiedzieć, że choroba nie łatwo się leczeniu poddaje.

Zauważywszy choćby najlżejsze objawy zasłabnięcia, natychmiast należy posłać po lekarza, bo im prędzej weźmiemy się do leczenia, tem większą mamy możność powrotu do zdrowia. W razie nieobecności lekarza należy przedsięwziąć następujące środki ratunku: przedewszystkiem położyć się do łóżka; wziąć olejku rycynowego na przeczyszczenie; zachować ścisłą dyetę, poprostu morzyć się głodem; pić można herbatę, mocną kawę czarną, kwiat lipowy, miętę; na brzuch położyć ciepły okład; ciało, gdy ziębnie, można rozcierać olejkiem kamforowym (tylko niezbyt mocno!), nogi ogrzewać za pomocą butelek z gorącą wodą. Oto wszystko, co przed przybyciem doktora zrobić należy.

Do opowiadania p. t. „Żona Cezara“.



Tryumfalny wjazd Konstantyna Wielkiego w dniu 29 października 312 roku do Rzymu po zwycięstwie nad tyranem Maksencyuszem.

ŻONA CEZARA

powieść z pierwszych wieków chrześcijaństwa.

(*Dokończenie*).

Konnica Maksencyusza, dwakroć liczniejsza, niż Konstantyna, pierwsza spadła, jak burza, na legiony stojące pod wodzą Aureliana.

Maksencyusz postanowił od jednego zamachu rozstrzygnąć losy bitwy na swoją korzyść i wbrew ostrożnej taktyce niektórych swych wodzów rzucił największą swą siłę na wroga.

Pod tętentem rozpędzonych koni zadrżała równina nadtybrzańska, okrzyk wojenny na cześć Maksencyusza rozdarł powietrze.

Pierwsze oddziały armii Konstantyna huragan jazdy nieprzyjacielskiej zmiótł z oblicza ziemi. Rozbite w mgnieniu oka hufce legły pokotem, jak skoszony rękoma kosiarzy łan zboża, huragan zaś popędził dalej.

— Zwyciężamy! — zawołał Maksencyusz, zjeżdżając z wysokości mostu Milwijskiego na nizinę, za Tybr. Losy bitwy nam oddają bogowie...

Doświadczeńsi z pośród wodzów, będących w orszaku tyrana, milczeli, lecz młodzi radośnie podnieśli w górę miecze z okrzykiem:

— Śmierć czcicielom krzyża!...

W tej to albowiem chwili po stronie przeciwnej, z boku równiny ukazała się na wzgórzu wyniosła chorągiew, na której widniał krzyż. Wyborem rycerstwa otoczony, stał tam Konstantyn, orlim wzrokiem ogarniając pole bitwy.

Spostrzegł on, że Maksencyusz główną część swej armii rzucił w wir bitwy, widział, że ta wyborowa jazda szerzy okropne zniszczenie w jego legionach.

— Czyżby świat pogański miał zwyciężyć? — pomyślał, podnosząc wzrok ku górze, gdzie na chorągwi cesarskiej widniało godło zbawienia.

W tej chwili atoli radość zabłysła w jego oczach, gdyż spostrzegł, że huragan, który Maksencyusz rzucił na jego armię, zatrzymał się w swym pędzie, że konnica nieprzyjacielska, starłszy się z konnicą jego, zachwiała się, zakołysała i jak fale morskie od brzegu skalistego wstecz się cofnęła.

— Aurelian... Celiusz... Aregozyl! — szepnął Konstantyn — ich miecze, ich męstwo umiało powstrzymać tę szaloną burzę...

I nie mogąc dłużej wstrzymać swego zapału, wspiął swego rumaka bojowego i na czele wyborowego legionu uderzył z boku na hufce Maksencyusza.

Chrześcijanie walczyli, jak lwy, widząc wysoko nad swemi szykami wzniesioną chorągiew z krzyżem.

Piechota Maksencyusza czyni okropne spustoszenie w szeregach legionów Konstantyna, lecz zwyciężyć nie może po bohatersku walczących chrześcijan, którzy w niej stanowili większość. Bój rozsrożył się straszliwy, krew zrumieniła równiny i wzgórza nadtybrzańskie.

Wtem rozlega się głos potężny Konstantyna:

— Za mną!... za mną....

Jak stado orłów, tak wyborowy legion z Konstantynem na czele sieje zniszczenie wśród legionów przeciwnika.

Widząc ubóstwianego wodza-bohatera na czele, armię Konstantyna nowy ożywił zapał, krwią zlane szeregi rzuciły się z heroicznym wysiłkiem do walki.

Rozległy się błagalne pieśni wojowników chrześcijan, dały się słyszeć głosy modlitwy, proszące Chrystusa Pana o zwycięstwo.

Konstantyn z mieczem ognistym w ręku parł wrogów z powrotem w stronę Tybru.

— Na Jowisza, o, boski Maksencyuszu — rzekł, widząc to arcykapłan Molocha — cofnijmy się do miasta... Niebezpieczeństwo blizkie...

— Maksencyuszu! — zawołał w tej chwili senator Pudens, leżący w pozłocistej lektyce — pośpiesz na czoło wojsk swoich, obnaż miecz, ukróć pychę Konstantyna, którego obecność dodaje męstwa jego legionom...

Co rzekłszy, stary senator Pudens, krewny Celiusza, zaczął dźwigać się z lektyki, nie bacząc na sparaliżowaną swoją nogę, wołał przytem o miecz i zbroję.

— Na Jowisza, prawdę mówicie! — wybełkotał Maksencyusz, który patrzył na bohaterskie czyny Konstantyna.

I kazał podać sobie zbroję, włożył ją szybko na siebie, poczem skinąwszy na stojące obok świeże pułki jazdy z Maurów i Numidyjczyków złożone, pomknął na ich czele na pole walki.

W tejże atoli chwili wysunęły się naprzeciw dwa legiony nieprzyjacielskie i z takim impetem uderzyły na pierwsze szeregi numidyjczyków, że te rozpierzchły się, jak stado płochliwych ptaków.

Padł strach dziwny na Maksencyusza, wstrzymał swego rumaka, cofnął się. Z przerażeniem spostrzegł tuż-tuż rycerza na karym koniu, siejącego zniszczenie dokoła.

— Aregozyl! — szepnął z przerażeniem i zawrócił konia.

Ale po chwili odwrócił głowę, chcąc się przekonać, czy legiony jego idą naprzód, czy się cofają.



Śmierć tyrana Maksencyusza na moście Milwijskim, w bitwie pod Rzymem, w dniu 28 października 312 roku.

I wtedy ujrzał, że chorągiew z krzyżem zakołysała się na wzgórzu i zwolna posuwała się ku dolinie, niesiona przez zwycięskie już wojska przeciwnika.

— Krzyż idzie na mnie!... Czary! czary! — wybełkotał Maksencyusz i przejęty panicznym strachem, spiął konia do ucieczki.

Za nim rzuciła się do odwrotu świta, a uczyniła to z taką skwapliwością, jakby od tego zależało zwycięstwo.

Widząc, że cezar wraca do Rzymu, rażone mieczami nieprzyjacielskiemi przyboczne legiony pretoryanów zachwiały się, dały się w kilku miejscach przełamać, i wkrótce w bezładnej ucieczce podążyły w stronę mostu na Tybrze, Milwijskim zwanego.

Wprawne w boju roty Gallów, Iberyjczyków i Rzymian pod wodzą Aureliana uderzyły wtedy z boków, na uciekających, cezar Konstantyn zaś pędził wprost na Maksencyusza, czyniąc okropną rzeź wśród nieprzyjaciół.

Ogromna armia Maksencyusza, podobna do wzburzonych wód oceanu, cefnęła się gwałtownie nad brzegi Tybru, rozumiejąc, że cezar chce ją mieć po drugiej stronie rzeki.

Zbrojne hufce stu ludów, począwszy od lodowych pustyń północy, do skwarnych nad Nilem krain, zebrane na rozkaz Maksencyusza, tłoczyły się nad brzegiem rzeki, szukając jak najkrótszej drogi do mostu.

— Za rzeką — rzekł uciekający tyran — stoczymy nową bitwę.

— Jeśli nam tylko Konstantyn pozwoli przejść most? — zrobił uwagę arcykapłan Molocha.

Na te słowa Maksencyusz nagle zaczął szczękać zębami z przestrachu, gdyż rumak jego potknął się, szukając przejścia wśród stosów poległych, przytem masy uciekających na lotnych arabskich koniach numidyjczyków porwały go wraz z sobą naprzód.

Przestrach, przerażenie owładnęło sercem tyrana, gdy poczuł, że jak wody wzburzonego morza, unoszą go fale nawpół oszalałego, ociekającego krwią wojska.

Tymczasem nawpół dzikie hordy z nad Dniepru, Dunaju i morza Kaspijskiego, spędzone z pola bitwy przez żelazne legiony Konstantyna, tysiącami zaległy most, tłocząc się bezładnie i gwałtownie.

Rzekłbyś, tysiące mrówek obsiadło każde przęsło mostu.

Co gdy się dzieje, zaufany szpieg dawniej Dyoklecyana, nazwiskiem Ibis, dziś oddany sługa Konstantyna, z kilku odważnymi ludźmi siadł w łódkę i nieznacznie podpłynąwszy pod las drewnianych pali, podtrzymujących most z jednego końca, skrycie a umiejętnie podpiłował kilka z nich, przez co osłabił budowę mostu i uczynił niezdolnym do wytrzymania naporu tylu wojsk na nim stłoczonych.

To też, gdy Maksencyusz, otoczony wyborowym legionem pretoryanów, dopadł mostu, musiał przybocznej straży kazać mieczem torować przejście.

A tymczasem chorągiew z krzyżem i przed nią zwycięski Konstantyn zbliżał się z każdą chwilą.

Maksencyusz zaklął, schował miecz do pochwy, aby mu nie przeszkadzał w ucieczce i szybko wśród tłumu uciekających przeby-

wał most, rozkazując, aby po przejściu armii zniszczono go co prędzej.

Wtem ukazał się z mieczem wzniesionym w górę Konstantyn, niecąc trwogę wśród uciekających, którzy ogarnięci przestrachem zaczęli się sami w pośpiechu spychać z mostu w fale Tybru.

— Przepadnij! zgiń! — wołał Maksencyusz, podnosząc zaciśnięte pięście w stronę chorągwi z krzyżem.

Jakby w odpowiedzi na to bluźnierstwo, dał się słyszeć przerażający huk, most się zawalił, i tyran uczuł, że wraz z rumakiem leci w przepaść.

Jeszcze jedno przekleństwo rozwarło konwulsyjnie wykrzywione jego usta, poczem głowa jego przybrana w dyadem monarszy zmiażdżyła się, uderzając o połamane belki i przęsła mostu.

Obok tyrana upadł również z rozbitym czerepem arcykapłan Molocha.

Od tej chwili pogrom wojsk Maksencyusza był zupełny.

Rzym, a z nim świat cały wolnym był od tyrana.

Na murach świątyni Jowisza Kapitolińskiego wkrótce zajaśniał krzyż, zwiastując światu nową erę: tryumf krzyża.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Religia chrześcijańska, tak srogo niedawno prześladowana, po tryumfalnym wjeździe Konstantyna do Rzymu, stała się w państwie panującą, wkrótce też władca ten pierwszy z monarchów rzymskich przyjął chrzest święty.

Niebawem na miejscach, gdzie niedawno wyprawiano rzezie gladyatorów, wznoszono kościoły; gdzie mordowano chrześcijan, teraz śpiewano pobożne hymny na cześć Ukrzyżowanego.

W willi Celiusza radość zapanowała, gwarno tam i ludno. Po tylu cierpieniach słońce szczęścia zajaśniało tam w każdym zakątku.

Siwy król Cypru oddał córki swe za żony Celiuszowi i Aregozylowi. Irena i Etella nie posiadają się z radości. Na godach weselnych był imperator Konstantyn, była świętobliwa cesarzowa Helena, był i ranny w ramię w ostatniej bitwie pod murami Rzymu Aurelian.

Konstantyn oddał czcigodnemu królowi Elinarowi jego dziedzictwo, tam też pośpieszył on wkrótce, aby przyszykować się do podróży, która, jak mówił, była pragnieniem całego jego żywota.

Jakoż w pół roku później okręty powiozły w stronę Cypru, a następnie w stronę Azyi, do brzegów Ziemi Świętej cesarzową Helenę, Irenę, Etellę i zarazem Elinara, Aureliana, Aregozyla i Celiusza.

Wszyscy oni dotarli do Jerozolimy i tam otoczyli królewską opieką najdroższe dla serc chrześcijańskich pamiątki, tam świętobliwa cesarzowa Helena założyła fundamenta pod świątynię Grobu Pańskiego.

Tryumf krzyża był od tej chwili końcem ostatniego najsroższego prześladowania chrześcijan, był odkupieniem ludzkości, był tryumfem światła nad ciemnością.

* * *

I gdy Bóg błogosławił młodym parom, gdy Etella i Irena czuły się najszczęśliwszemi w świecie, Pryska i Walerya, żona cezara, smutnie skończyły, jakby na dowód, że tylko w szczerości serca i w oddaniu się zupełnem Bogu szczęście znaleźć można. Wśród zamieszek wojennych, które wynikły po upadku świata pogańskiego, obie zginęły z rąk zabójców, którzy pozazdrościli im purpury monarszej.

Stefan Gębarski.

KONIEC.

ZŁOTE MYŚLI.

Żono, matko, chcesz być szczęśliwą i mieć szczęście rodzinne, niech dom twój będzie domem Bożym, niech w nim, jakby w kościele, będzie ołtarzyk do wspólnego nabożeństwa, a ty, żono, matko, bądź jakby kapłanką ducha pobożności.

Żadna praca w imię Boże nikogo nie poniża.

Nowiny polityczne.

Na Kosowem polu. Serbia, niewielkie dziś królestwo, miała w XIV wieku chwilę świetności, prowadziła obszerny handel i miała bogate miasta.

Lecz niestety, chwila tej świetności krótko bardzo trwała. Wodzowie kłócić się między sobą poczęli, a ku granicom ciągnął wróg potężny.

Byli to Turcy.

Sułtan ich, Murad I, zdobywszy część półwyspu Bałkańskiego, obrał sobie za stolicę Adryanopol i stamtąd coraz to śmielsze w głąb Europy robił wyprawy.

Zasłyszawszy, że w Serbii niezgoda, posłał zaraz z rozkazem, ażeby mu złożyli tysiąc funtów srebra i przysłali tysiąc najdzielniejszych ludzi i tyleż koni; inaczej groził, że wtargnie z licznem wojskiem, bogate miasta złupi doszczętnie, a mieszkańców w pień wytnie lub w jasyr zapędzi. Usłyszawszy to, król Lazar, panujący wówczas w Serbii, byłby odrazu zebrał wojsko i w odpowiedzi na żądanie Murada, pociągnął aż do jego stolicy, lecz niestety, kłótnie i niesnaski w kraju, nie pozwoliły mu tego uczynić. Prosił więc tylko, aby posłowie sułtana zaczekali na odpowiedź, a zebrawszy wierną drużynę do Prilipy, stołecznego wówczas miasta, pytał, co ma uczynić? Dzielni rycerze, tak jak król, ścisnęli miecz w dłoni, ale tak jak i Lazar, widzieli niemoc swoją.

— Bić się, a nie dać Turkom naszych dzieci i krwawo zapracowanego grosza! — zawołał Urosz, jeden z dowódców.

— Zginiemy, to zginiemy na własnej ziemi! niechaj przyjdzie niewierny i nasyci się krwią naszą! — poparł go drugi.

A i inni wołali, aby rozkazu Murada nie słuchać.

Lecz król Lazar smutnie zwiesił głowę i spoglądał po tej garstce, która tak była bezsilną, a tak gorąco rwała się do walki.

— I jam do tej walki ochotny, sambym pierwszy głowę położył — rzekł dzielny Lazar,—gdybym wiedział, że tem spokój mojej

ziemi okupię. Lecz iluż jest naszych? Ile wojska wystawić możemy?

Na to pytanie wszyscy rycerze spojrzeli po sobie i każdy zamilkł, bo każdy wiedział, że wiernych krajowi, trzymających się w zgodzie, jest tylko garstka niewielka... Milczenie zaległo dokoła, tylko słychać było ciężki oddech wojaków, zgnębionych własną niemocą.

Wtem wysunął się jakiś młodzian, który jako przyboczny jednego z rycerzy, stał na uboczu.

— Najmiłościwszy królu Lazarze i wy, zacni rycerze — rzekł pokornie — nie mnie zabierać tu głos i wdawać się do waszej rady, lecz gdy chata jest w ogniu, to nie pytają kto ma lać wodę, tylko każdy bieży czemprędzej z wiadrem.

— Dobrze mówi — rzekł król, uśmiechnąwszy się nieco, a inni spojrzeli na śmiałego młodziana.

— Zginąć, to zginąć, któżby tam życia żałował, gdy je dać trzeba dla kraju? — mówił ów młodzieniaszek zachęcony przez króla,—lecz gdy wszyscy zginiemy, cóż się stanie z naszą ziemią? Turek ją zabierze, prawa nasze zdepcze, mogiły ojców rozrzuci, a imię Serbów zaginie! Pozwólcie nam, młodym, tam iść do niego; tysiąc nas się znajdzie, co pójdzie do Turka, aby inni spokój mieli; tysiąc też funtów srebra znajdzie kraj nasz bogaty. My tam, młodzi, łacno zniesiemy tę służbę; Serbami, chociaż w niewoli, być nie przestaniemy, a wy tu, najmiłościwszy królu i starszyzno, gdy zbierzecie siły, pomścicie krzywdy nasze i całej ziemicy.

— Dzielnie powiada, serce w nim rycerskie, a miłujące kraj swój nad życie! — zawołał król Lazar.

— Dzielny to młodzian — powtarzała starszyzna.

— Choć młodzian z wejrzenia, ale rozważny jak starszy latami — rzekł król Lazar, a wszyscy z podziwem spoglądali na stojącego pokornie.

— Jak się zwiesz, nasz doradco?—zapytał król Lazar.

— Miłosz Kobiłowicz — odparł młodzian.

— A więc, Miłoszu Kobiłowiczu, jestżeś pewny, że znajdzie się takich więcej jak ty, którzy dla szczęścia kraju poświęcą się? — zapytał Lazar.

— Najmiłościwszy królu, rozkaż, a staniemy! — zawołał ów młodzian z zapałem.

Jak rzekł, tak się stało. Posłowie tureccy w odpowiedzi wiedli tysiąc dzielnych koni, tysiąc dzielniejszych jeszcze młodzieńców serbskich; każdy z nich wiózł funtową bryłę srebra, a na ich czele

jechał Miłosz Kobiłowicz. Kraj ze łzami żegnał swych synów, a ci, chociaż im się serce ściskało, jechali raźno, bo im się zdawało, że służbą u Turka okupią szczęście współziomków.

Poszli, a król Lazar myślał, jakby jedność w kraju wprowadzić, siły zgromadzić, a Turkowi nie dać się owładnąć. Tymczasem Murad I nie dotrzymał umowy; jazdę dostarczoną przyjął, srebro schował, a napady swe coraz to głębiej posuwał, aż wreszcie zajął i miasto Belgrad. Zawiele już tego było. Król Lazar, widząc, że swojemi siłami nie pokona Turka, słał na wszystkie strony, prosząc o pomoc. Ta śmiałość Murada nie podobała się i innym narodom, chętnie więc Szyszman, książę Bulgaryi, wszedł w umowę z Lazarem, chętnie Bośniacy, Wolosi, Węgrzy, a nawet i odleglejsi już od Serbów Polacy przyrzekli pomoc przeciw groźnemu nieprzyjacielowi.



Książę Jerzy, dzisiejszy następca tronu serbskiego, przy lekcyi.

Zebrało się więc sprzymierzone chrześcijańskie rycerstwo i stanęło na Kosowem polu w marcu 1389 r.

Murad I stanął tam również ze swoimi janczarami, to jest piechotą doskonale wyćwiczoną i spahami, czyli jazdą.

Zapał do walki w obozie chrześcijańskim był tak wielki, iż każdy pewnym był zwycięstwa.

Słońce już zachodziło, noc powoli rzucała swe cienie na dolinę Kosowego pola, król Lazar jednak jak tylko ujrzał, że Murad już nadciągnął, chciał natychmiast w nocy uderzyć na jego obóz.

— Myśmy wypoczęli, tamci tylko co przybyli, nie znają jeszcze sił naszych, łatwo więc ich pokonamy — mówił Lazar, zachęcając do nocnej walki.

— Najmiłościwszy królu — rzekł Jerzy Kastryota, dowódca jazdy serbskiej — my i w dzień zetrzemy w proch Turka, a niechaj wiosenne słońce oświetla zwycięstwo chrześcijan nad niewiernymi.

— Niech żyje Jerzy Kastryota, dobrze on radzi! — wołali jedni.

— Im prędzej zgnieciemy tych pohańców, tem lepiej — krzyczeli inni, szykując się do walki

Ale wśród tych krzyków powstał zamęt w obozie, powstała nowa niezgoda, a król Lazar, chcąc ją uciszyć, przysłał rozkaz, żeby dopiero na drugi dzień rozpcząć bitwę.

Murad tymczasem przygotował swoje wojsko, a trzymając je w karności, do walki sposobił.

Rozpoczęła się wreszcie bitwa; między szykami Murada panował ład, porządek i zgoda; w obozie chrześcijańskim był zapał do walki, każdy niósł życie w ofierze, lecz każdy chciał na swój sposób wojować. Niezgoda wstrząsała dowódcami, wojsko nie mając właściwych a jednozgodnych rozkazów, walczyło mężnie, lecz wśród tej walki ginęło lub wpadało żywcem w ręce niewiernych. Wpadli też w tę niewolę najznakomitsi dowódcy, dostał się żywcem Turkom i sam zrozpaczony król Lazar.

A na uboczu, wśród spahów Murada, stała garstka jazdy, która różniła się od wojowników tureckich. Dowódca jej błyskał okiem złowrogo, ilekroć zwycięstwo przechylało się na stronę Murada. Zdało się, byłby się rzucił i szarpał niewiernych zwycięzców, stał jednak na miejscu, bo spahowie mieli go na oku. Owa zaś garstka jezdnych miała tylko walczyć w ostatniej chwili i to pod osłoną tureckiej piechoty, którahy im nie pozwalała przechodzić do chrześcijańskiego obozu. Łatwo się bowiem każdy domyśli, że to byli ci sami, którzy chcąc okupić spokój Serbii, poszli na służbę do Turka. Lat czternaście tej służby nie zatarło miłości do kraju, wielu z nich zginęło w rozmaitych walkach, lecz pozostali wyrośli na mężów. Pozostał i Miłosz Kobiłowicz, który pierwszy dał hasło do okupienia spokoju Serbii własną niewolą. Krew więc w nim wrzała, gdy ujrzał, że wszelkie ich poświęcenie zmarniało, a szlachetny król dostał się w niewolę. Powstrzymał się jednak od wszelkich gwałtownych wybuchów i z udaną życzliwością rzekł do dowódcy spahów:

— Pozwólcie mi wejść do namiotu wielkiego władcy Murada, wiem ja sposób, którym odrazu zmiażdży wojska nieprzyjacielskie, a Serbię, jako swoją zagarnie.

Dowódca spojrzał na niego bystro, lecz w spokojnem napozór obliczu Miłosza nie mógł dopatrzeć zdrady. Uzyskawszy pozwolenie samego sułtana, Miłosz Kobiłowicz wszedł do jego namiotu, a nie

mówiąc ni słowa, rzucił się na Murada i przebił go sztyletem. Lecz i to poświęcenie Miłosza nie odniosło pożądanego skutku, pochwycono nieszczęśliwego i rozszarpano. Murad zaś, brocząc cały we krwi, kazał wywieść przed namiot króla Lazara i ściąć go, aby konając, napatrzył się jeszcze rozpaczy dzielnych, lecz nieoględnych Serbów, którzy wraz z mężnym swym królem widzieli wstępującą do grobu ojczyznę.

Jednocześnie z Lazarem i Murad I wyzionął ducha, lecz mimo to Serbia dostała się pod panowanie Turków; nie okupiło jej po-



Ferdynand I, król bułgarski, z małżonką.

święcenie garstki miłujących ją synów, walka na Kosowem polu roku 1389 była ostatnim dniem sławy i życia dawnej Serbii, a wraz z nią ludów słowiańskich na Bałkanie. Zginęła ich świetność, lecz nie siła Turków, ale niezgoda wewnętrzna je pokonała. O poświęceniu bohaterów dziś tylko wspominają pieśniarze, a obok wyrazu męstwa, wyraz niezgoda w ich śpiewie rozbrzmiewa.

* * *

I po wielu wiekach niewoli, gdy potęga Turków zachwiała się, ludy słowiańskie na Bałkanach odzyskują swoje prawa, zrzucają jarzmo niewoli. Dziś Serbia i Bułgarya są królestwami niezależnemi.

* * *

I tak potężne w wieku XIV państwo serbskie, obejmujące Serbię, Macedonię, Albanię, Tessalię, północną Grecyę i Bułgaryę, jedno z najpotężniejszych w słowiańszczyźnie, wskutek wewnętrznych rozterek i niezgód, podobnie jak Rzeczpospolita polska, chylić się zaczęło do upadku, aż po bitwie na Kosowem polu uległo przemocy Turków. Choć z biegiem czasu odrodzone, nie odzyskało już dawnej potęgi. Po bohaterskich walkach z Turkami, wywalczyło sobie samodzielność i dziś stanowi niezależne królestwo, liczące około trzech milionów ludności.

Po zamordowaniu króla Aleksandra Obrenowicza, wstąpił na tron Piotr Karadżordżewicz i dotychczas panuje.

Wskutek ogłoszenia się Bułgaryi niezależnem królestwem i zaboru przez Austryę dwóch pięknych prowincyi słowiańskich Bośni i Hercegowiny, król Piotr serbski i Mikołaj czarnogórski uczuli się pokrzywdzonymi: Bośnia i Hercegowina, to siostrzyce ziemi serbskiej, więc zajęcie tych krajów przez Austryę uważają Serbowie za krzywdę okrutną.

To też tak w stolicy Serbii, jak w stolicy Czarnogórza ludność burzy się, wzywa rząd do wojny z Austryą.

Rozważni atoli ostrzegają przed niebezpieczeństwem wojny, gdyż po stronie Austryi jest przewaga wojskowa.

Tymczasem młody następca tronu serbskiego, dwudziestokilkoletni książę Jerzy, staje po stronie pragnących siłą oręża odbić Austryi zabrane ziemie słowiańskie, przez co w Serbii z dniem każdym wzrasta stronnictwo wojny.

Co z tego wyniknie, najbliższa przyszłość pokaże, to tylko pewna, że od wieków, bo od czasu bitwy na Kosowem polu, ciążące nad ludami bałkańskimi jarzmo tureckie coraz to więcej rozluźnia się i pęka.

* * *

Po wielu latach dawne królestwo Bułgarskie ożyło. Jęcząca od wielu wieków pod jarzmem tureckiem Bułgarya, odzyskała byt

samodzielny. Pogrzebany przez Turków majestat królewski słowian południowych w nieszczęśliwej bitwie na Kosowem polu, (w roku 1389) zmartwychwstał.

Krwawe to dzieje, dzieje ucisku i barbarzyństwa tureckiego. Dawni monarchowie polscy niejednokrotnie marzyli o wypędzeniu Turków z Europy i o oswobodzeniu ludów bałkańskich od pogan.

Na polach Warny, w Bułgaryi, w roku 1444 poległ jeden z najdzielniejszych królów polskich—Władysław Jagiellończyk, pragnąc zwyciężyć pogańskich ciemięzców słowiańszczyzny.



Szyldwach bułgarski i turecki, na pograniczu Turcyi i Bułgaryi.

Od roku 1878, to jest od traktatu berlińskiego, po wojnie rosyjsko-tureckiej, Bułgarya była księstwem samodzielnem, ale lennem w stosunku do Turcyi. Obecny książę bułgarski Ferdynand, panujący od roku 1887, w dniu 5 października roku bieżącego ogłosił Bułgaryę królestwem niezależnem i sam przybrał tytuł królewski.

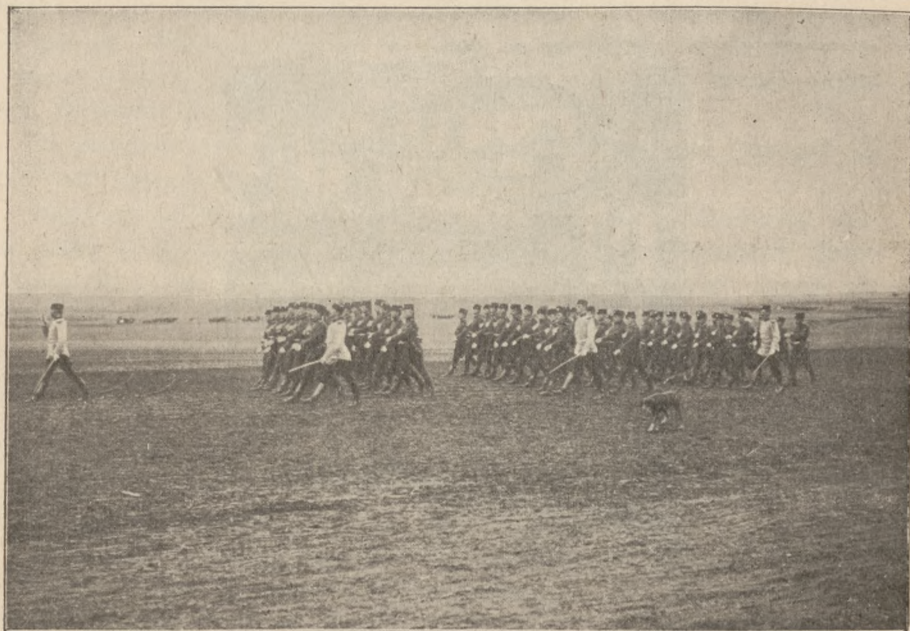
W Bułgaryi zapanowała ogromna radość; do Tyrnowy, starożytnego grodu bułgarskiego, napływają tysiące depesz ze wszystkich stron świata, ludność wita nowego króla z zapałem nieopisanym.

Tylko w stolicy Turcyi niezadowolenie wzrasta, sułtan nie chce słyszeć o nowem królestwie, ale dotychczas nie ogłasza wojny.

Odwieczni najeźdźcy i wydziercy ziemi słowiańskiej widzą, że ujarzmione ludy bałkańskie nie zapomniały o swej przeszłości.

* * *

Zamęt, który powstał na półwyspie Bałkańskim po zaborze przez Austryę Bośni i Hercegowiny, dwóch pięknych prowincyj południo-



Ćwiczenia armii serbskiej.

wo-słowiańskich — trwa w dalszym ciągu. Tak w stolicy Serbii, jak i w stolicy Czarnogórza, zabór ten wywołał wielkie wzburzenie. Oba te państwa uważają Bośnię i Hercegowinę za ziemie bliźnie i bratnie. Połączenie się z niemi było marzeniem Serbów. To też wrogie głosy z coraz większą siłą rozlegają się przeciw Austryi. Armia serbska i czarnogórska zbroi się i staje w pogtowiu wojennem. To samo niezależne już dziś królestwo Bułgarskie z królem Ferdynandem I na czele zbiera wszystkie swe siły wojenne, trzyma-

jąc je w pogotowiu bojowem, gdyż Turcya nie chce uznać niepodległości nowego królestwa.

Po opłakanych rezultatach wojennych z znacznie od Serbii podówczas słabszą Bułgaryą, niepodobna było przypuszczać, że Serbia odważy się przybrać wobec Austryi ten ton zaczepny, jaki objawia się w Białogrodzie.

W stanie dzisiejszym serbska armia liniowa, na pierwszy rzut oka, wywiera korzystniejsze niż dawniej wrażenie. Oficerów ma pełnych animuszu wojennego, żołnierze mają być naogół dobrze wyćwiczeni i utzymani we wzorowej dyscyplinie.

W Serbii obowiązuje powszechna powinność wojskowa każdego mężczyznę od 21 do 45 roku życia.

Według ostatnich wykazów statystycznych, około 25.000 młodzieży rocznie dochodzi wieku powinności wojskowej. Z cyfry tej—ponieważ wielu od spełnienia powinności się uchyla, również po odliczeniu niezdolnych do służby wojskowej — pozostaje mniej więcej 18.000 do wcielenia w kadry armii. Ale i z tych zaledwie połowa pełni cały czas służbę pod chorągwią, druga korzysta z przywileju odbywania tylko krótkich ćwiczeń. Czynny okres służby w piechocie wynosi 17 miesięcy, w konnicy i artyleryi 2 lata.

W razie uruchomienia dzieli się armia na trzy powołania. W razie kampanii po za granicami kraju siła wojenna Serbii wynosi 220,000 do 265,000 ludzi.

W razie ogłoszenia mobilizacyi, Serbia w przeciągu 10 dni skoncentrować może na granicy 125,000 piechoty, 5,200 kawaleryi, 330 dział. W korpusie oficerskim dwie trzecie oficerów wyszły ze szkół kadeckich, jedna trzecia awansowała z prostych żołnierzy. Tym ostatnim nie służy prawo do wyższych stopni wojskowych. Oficerowie, którzy odbyli studya w zagranicznych szkołach wojskowych, mają pierwszeństwo w awansach. Żołnierze odznaczają się odwagą, lecz brak im wykształcenia, chętni, jednak zarówno pod względem fizycznym, jak umysłowym pozostają daleko w tyle w porównaniu z armią austryacką.

Książę Mikołaj czarnogórski wysłał do króla Piotra telegram o treści następującej: „Jeżeli armia serbska stanie nad Driną, wojsko moje wkroczy na terytoryum Hercegowiny.“

Wojsko czarnogórskie według danych przybliżonych, przedstawia siłę następującą: Czarnogóra, licząca 9,080 klm. kwadratowych rozległości i 250,000 mieszkańców, wystawić może 36,000 piechoty i 1.200 artyleryi Dział ma Czarnogóra 48 górskich, 36 polnych, 44 oblężniczych, 20 kartaczownic.

Różaniec.

Zmierzch... Szare światło wpada przez okna witraży...
W kościele półmrok... tylko ołtarz Maryi Panny
Tonie cały w świec blasku, jak w zorzy porannej
I tysiącem promieni skrzy się, mieni, jarzy...

Błękitna mgła kadzideł ulata ku górze,
Gdzie jasna twarz Maryi w gwiezdnej aureoli,
Słodko pyta oczyma, co nas gnębi, boli?...
A u stóp jej ostatnie blade więdną róże...

W mrocznej nawie kościelnej echem się odbija,
Jak szmer deszczu, jak słodki, senny plusk fontanny,
Szept różańca miarowy, cichy, nieustanny
Na cześć Królowej, której chwała nie przemija!...

— To z pozdrowień anielskich lud wije koronę,
Modląc się usty, duszą... Z tą wiarą głęboką,
Że Marya wysłucha... Łzą zachodzi oko,
Gdy rozbrzmiewa rzewny hymn: „Pod Twoją obronę!“...



Żarty, żarciki, anekdoty.

Dobra rada.

We Francyi przyjęte jest, że nowemu ministrowi przedstawiają się nietylko wyżsi dygnitarze urzędowi, ale i deputacye od urzędników niższych.

Gdy na jednego z ostatnich ministrów sprawiedliwości przypadła ta ceremonia powitalna, tak się znużył ciągłemi mowami, o wysokiem powołaniu i obowiązkach, że po paru godzinach ciągle wypytywał swego sekretarza, kiedy się skończą te prezentacye.

Ale szereg ich był bardzo długi, po dyrektorach następowali senatorowie, prezesi, sędziowie i t. d.

— Jeszcze deputacya komorników, wasza ekscelencyo! — szepnął sekretarz.

— Komorników?... — rzekł minister rozpaczliwie. — Ha, niech wejdą!

Weszło ich kilku i stanęli z miną pokorną. Minister ledwie już mógł mówić.

— Panowie komornicy — rzekł po chwili półszeptem żałośnie — panowie komornicy, kochajcie się jak bracia, bo któż was kochać będzie?...

Dowcipny argument.

Kiedy za czasów wielkiego Waszyngtona, wybawcy Ameryki z niewoli angielskiej, na kongresie Stanów Zjednoczonych radzono, jakby zaprowadzić oszczędności jak największe w armii, jeden z deputowanych wniósł, aby armię ograniczyć do 3,000 żołnierzy. Propozycya ta nadzwyczaj się podobała wszystkim, wówczas Waszyngton zaproponował, aby przed zatwierdzeniem tej redukcyi, uzyskać

zobowiązanie od wszystkich nieprzyjaciół, że żaden z nich nigdy nie wystawi do wojny ze Stanami Zjednoczonymi więcej nad 2.000 żołnierzy. Tym dowcipnym argumentem przekonał członków kongresu *zanadto oszczędnych.*

Indyk.

Ławnik w małem miasteczku, idąc na posiedzenie do ratusza, wziął z sobą służącą i po drodze kupił indyka, którego kazał jej zanieść do domu i powiedzieć żonie, żeby połowę upiekła, a połowę ugotowała. Na posiedzeniu pan ławnik zdrzemnął się.

Roztrząsano tam sprawę jakiegoś chłopaka, który ukradł kilkoro indyków. Drzemiący ławnik słyszał, że coś mówiono o indyku, a myśląc właśnie o tym, którego kupił na targu, gdy go nagle zapytano, co sądzi, jak należy postąpić z obwinionym, odpowiedział:

— „Powiedziałem już przecie, żeby go w połowie upiec, a w połowie ugotować.“



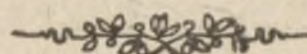
Od Redakcyi.

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego“ upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi Królowej Nieba i ziemi poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski“.

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa, pod Jasną Górą.



Ważne ostrzeżenie.

Wiele osób przybywających na Jasną-Górę przy poszukiwaniu lokalu redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“ bywa wprowadzanych w błąd przez ludzi złej woli, którzy z umysłu dają mylne informacye. Zwracamy przeto uwagę osób interesowanych, że redakcya „Dzwonka Częstochowskiego“, jak również i **zakład fotograficzny** tegoż „Dzwonka Częstochowskiego“ mieszczą się w kamienicy obok hotelu Krakowskiego pod Nr. 19 **na piętrze.**

Nadto nadmieniamy, że sklep z przedmiotami dewocyjnemi, który jest w tymże domu **na dole (na parterze) wcale nie należy do redakcyi** „Dzwonka Częstochowskiego“.

Ponieważ dotychczasowy fotografista „Dzwonka Częstochowskiego“ p. Zygmunt Piasecki usunął się z zajmowanego stanowiska, przeto prosimy wszystkie zainteresowane osoby, aby w celu uniknięcia nieporozumień raczyły wszelką korespondencyę i przesyłki pieniężne adresować wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“ lub na nazwisko księdza Józefa Adamczyka, redaktora „Dzwonka Częstochowskiego“. **Tylko pod tym warunkiem odpowiadamy za akuratność w spełnieniu zobowiązań.**

ks. Józef Adamczyk,

Redaktor „Dzwonka Częstochowskiego“.



Precz z szelkami!

Za kop. 80 elastyczno-spiralny spinacz do spodni (szelki zupełnie niepotrzebne), łatwy do założenia przy każdych spodniach. Zdrowy, wygodny, bez ciśnienia, bez potu, bez guzików, swobodna figura, oszczędza trudu i irytacyi. Wysyła się także za zaliczeniem pocztowem 1 sztukę za rb. 1.10 — 3 szt. za rb. 2.70 — 6 szt. za rb. 4.50 z przesyłką.



Wygoda, oszczędność!

Tylko za rb. 2 kop. 25. Najlepsza **Maszynka** bezpieczna **do golenia**, którą każdy, nawet kto nigdy sam się nie golił, może bez skaleczenia łatwo i czysto sam się ogolić.



Za rb. 2 kop. 50. Najlepsza **brzytwa** (bezpieczna) **„Figaro“** z najlepszej angielskiej stali.



Za rb. 2 kop. 90. Ang. **Maszynka automatyczna** z paskiem i pastą do dokładnego **naostrzenia** każdej **brzytwy** lub **brzytewki**. Ostrzy automatycznie. Wprawa niepotrzebna.

Za rb. 3. kop. 25. Maszynka do strzyżenia włosów, z 3-ma numerami, na 3, 7 i 10 milimetrów.

Za rb. 2 kop. 80 — Maszynka 00 do brody, na 1/2 i 1 milimetr.



Ogromna oszczędność szkła do lamp!

Pierścień metalowy specyalnie preparowany, ochrania wszelkiego rodzaju szkła do lamp od pęknięcia wskutek przeciągu lub ochłodzenia. Nadaje się do każdego szkła, zakłada się na szkło wyżej płomienia lub koszulki.

Sztuka kop. 15. Wysyła się za zaliczeniem pocztowem **12 szt. za rb. 1 kop. 80 — 24 szt. za rb. 3** z przesyłką.

„Chiński sztyft“

Wywabia momentalnie plamy od piwa, sosu, tłuszczu, smoły i t. p., z ubiorów wszelkiego rodzaju, pluszu, firanek dywanów i t. p.

Sztuka kop. 15. Wysyłam za zaliczeniem pocztowem **12 sztuk za rb. 1 kop. 80 — 24 szt. za rb. 3** z przesyłką.

„BONUM“

Proszek do sklejania i kitowania wszelkich metali: szkła, porcelany, drzewa i t. p., do odnowienia wszelkich dziurawych i pękniętych garnków i naczyń bez lutowania, wytrzymuje ogień i wodę. **Paczka kop. 20.** Wysyłam za zaliczeniem pocztowem **12 paczek za rb. 2 kop. 40 — 24 paczki za rb. 4 kop. 20** z przesyłką. Wysyłam za zaliczeniem pocztowem bez zadatku. **Za przesyłkę** jednego lub kilku różnych artykułów razem doliczam **kop. 50.**

WINCENTY JEŻEWSKI

Warszawa, Żórawia № 41. „Dzw.“

Wszyscy nowi prenumeratorzy „Dzwonka Częstochowskiego“, a także i dawniejsi, którzy nie zamówili dotychczas

„Skarbczyka Polskiego“,

zawierającego **„Obrazy z dziejów polskich“,**

mogą takowy jeszcze nabywać za dopłatą **1 rb. 20 kop.** z przesyłką. Pierwsze sześć tomików zawierają **„Historyę Polski“** „Śpiewy Historyczne“ (z objaśnieniami) J. U. Niemcewicza (z portretami i illustracyami ważniejszych wydarzeń z dziejów naszych.)

Tomik VII zawiera **życiorys Mikołaja Kopernika.**

Tomik VIII **„Wyrok Jana Kazimierza“,** dramat historyczny, przez Władysława Syrokomlę.

Tomik IX **„Święta Kinga“,** według Karola Szajnochy.

Tomik X **„Matka Jagiellonów“,** według Karola Szajnochy.

Tomik XI i XII **„Obrona Częstochowy“,** utwór sceniczny Juljana z Poradowa (grany z wielkiem powodzeniem na scenach polskich).

Sześć tomików „SKARBCZYKA POLSKIEGO“, zawierających „HISTORYĘ POLSKI“ **dla Czytelni Ludowych** i **dla Szkół parafijalnych** oddajemy po wyjątkowo zniżonej cenie, to jest za **40 kop.**

ALBUM PAMIĄTKOWE BUDOWY NOWEJ WIEŻY NA JASNEJ-GÓRZE w CZĘSTOCHOWIE, cena zniżona: bez oprawy 40 kop., w oprawie ozdobnej 80 kop.

Drobne sumy pieniężne można przesyłać w listach **markami pocztowemi.**

Prenumeratorzy „Dzwonka Częstochowskiego“ mogą nabywać po cenach zniżonych niżej wymienione dzieła:

Obrazy historyczne w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze — broszurowane 50 kop., w ozdobnej oprawie 1 rb. (za przesyłkę dopłaca się 20 kop.).

Wizerunki Dostojników duchownych w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze—50 kop. (za przesyłkę osobno 17 kop.).

Książka do nabożeństwa, zawierająca piękne dawne modlitwy, które nasi dziadowie i pradziadowie odmawiali—w oprawie ozdobnej w płótno, ze złoconymi brzegami 75 kop., w oprawie ozdobnej w skórkę ze złoconymi brzegami 1.00 kop., w oprawie skórkowej miękkiej 1.25 kop., w oprawie wytwornej, fantazyjnej 1 rb. 75 kop. (za przesyłkę tej książki dopłaca się 30 k.).

Z życia Adama Mickiewicza—popularny życiorys wieszcza, przez Stefana Gębarskiego, z portretem i w oprawie 80 kop. (z przesyłką pocztową).

W Administracyi „Dzwonka Częstochowskiego“ są nadto do nabycia:

Karty pocztowe kolorowane z widokami Jasnej-Góry — sztuka 5 kop., serya z 12 kart 50 kop., z przesyłką 70 kop. Album z 12 kart w okładce tekturowej 55 kop., z przesyłką 70 kop.

Przewodnik illustrowany po Jasnej-Górze w Częstochowie. — Część I z planem Jasnej-Góry, str. 134. illustracyj 60, 30 kop., na lepszym papierze 40 kop. Część II. **Skarbiec Jasnogórski**, 50 illustracyj, 25 kop., na lepszym papierze 30 kop. (Za przesyłkę jednej części dopłaca się 15 kop.). Obydwie części z przesyłką 80 kop., na lepszym papierze 95 kop.

Swięta Barbara — książka do nabożeństwa dla górników, w oprawie płóciennej 50 kop., w oprawie skórkowej 70 kop. (za przesyłkę 20 kop.).

Dobry katolik—katechizm Rzymsko-katolicki, wraz z historyą Świętą, radami dla parafian i elementarzem, na którym tak dziecko, jak i dorosły może w krótkim czasie i z łatwością nauczyć się czytać, z illustracyami 12 kop., z przesyłką 16 kop.

Dwór Niebieski, czyli modlitwa Ś-tej Luitgardy—8 kop., z przesyłką 10 kop.

Ks. Augustyn Kordecki—życiorys wiekopomnego obrońcy Jasnej-Góry od Szwedów, z przesyłką 5 kop.

Pamiętniki Majora — I. F. Kierzkowskiego — 1 rb

Obraz kolorowy, przedstawiający ołtarz z cudownym obrazem Matki Boskiej w kaplicy Jasnogórskiej 24×18 cali, cena 40 kop.

Portret ks. Augustyna Kordeckiego 30×22 cali, cena 30 kop

Widok Jasnej-Góry w kolorach 28×20½ cali, cena 40 kop.

Za przesyłkę wraz z opakowaniem jednego lub trzech obrazów dopłaca się 40 k.



Przy zamawianiu kilku książeczek naraz dopłaca się za przesyłkę po 20 kop. do każdego rubla lub części rubla.

Różańce Krzyżackie

w Redakcyi

„Dzwonka Częstochowskiego“.



FOTOGRAFIE z uroczystości poświęcenia wieży

dnia 15 sierpnia 1906 r.

przedstawiające:

1) Ojca Jenerała zakonu ks. Paulinów, wygłaszającego mowę przed rozpoczęciem uroczystości.

2) Wyjście procesyi na wały.

3) Błogosławieństwo, udzielone przez ks. Biskupów zgromadzonemu pod wałami klasztornemi ludowi.

4) Kompanie, zgromadzone przy kaplicy M. B. Częstochowskiej, przyjmujące błogosławieństwo ks. Biskupów.

5) Duchowieństwo, z ks. Biskupem na czele, przyjmujące udział w uroczystości.

6) Grupa przedstawicieli prasy biorących udział w uroczystości.

Do nabycia w Redakcyi

„Dzwonka Częstochowskiego“.

Filia „Dzwonka Częstochowskiego“ w Warszawie przeniesiona na ulicę Marszałkowską № 101, do księgarni.

STOWARZYSZENIE „ZORZA“

malarzy, rzeźbiarzy, pozłotników i haftarzy,

pracujących w zakresie sztuki kościelnej

w CZĘSTOCHOWIE

poleca najtaniej, bo z pierwszej ręki, we własnym składzie pod Jasną Górą.



obrazy
feretrony
figury { Pana Jezusa, Matki Boskiej, Ś-tych Pańskich
sztandary
chorągwie
dzwonki harmonijne
witraże
ornaty
kapy
wszelkie wyroby kościelne



posiada jedyny w Częstochowie obfity wybór **artystycznych obrazów Matki Boskiej Częstochowskiej, ręcznie wykonanych przez artystów Akademii Krakowskiej,** w różnych wielkościach i na różne ceny,

podejmuje się wykonania wszelkich robót, dotyczących **odnawiania i upiększania kościołów** artystycznie, dokładnie i tanio,

przyjmuje zamówienia na **odlewy nowych dzwonów i przelewy starych, oraz posadzkę cementową i terrakotową** po najniższych cenach.

Wszelkie zlecenia Czcigodnego Duchowieństwa i ogółu katolickiego wypełnia się szybko, dokładnie i tanio.

Adres dla listów: ***Stowarzyszenie „ZORZA“ w Częstochowie,*** skrzynka pocztowa № 84.

Redaktor i Właściciel ks. **JÓZEF ADAMCZYK.**

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.